Nr. 20. Warszawa, dnia 18 (6) Maja 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

NOWE ULGI.



Bardzo doniosłe jest najświeższe postanowienie Rady państwa (Najwyżej zatwierdzone 22 kwietnia r b.), dotyczące pewnych ulg w pobieraniu podatków od prawa własności ziemskiej, jeżeli majątek przechodzi do innego właściciela w formie darowizny lub spadku, albo wreszcie sprzedaży. Pobudką do tej ulgi było ciężkie położenie ziemiaństwa, które między innemi objawia się pod postacią wzrostu zadłużenia. Według prawa dotychczasowego, majątki, przechodzące z rąk do rąk dziedzicznie lub w innej formie tranzakcyi bezpłatnej, były obarczane podatkiem w stosunku 1—8%, przyczem 1% pobierano za przejście dóbr od męża do żony i odwrotnie, do krewnych w prostej linii zstępnej lub wstępnej, w ręce dzieci adoptowanych i ich żon. Ponieważ ze śmiercią głowy rodziny zwykle w interesach gospodarstwa wytwarza się wielki chaos, a więc jest to chwila, w której wszelka pomoc, chociażby najdrobniejsza, bywa bardzo pożądaną. Wobec takiego stanu rzeczy, twórcy nowych przepisów zupełnie uwalniają własność ziemską od podatku 1% w wypadkach powyżej wyłuszczonych. Przy wprowadzeniu tej ulgi stało się rzeczą nieodzowną dopełnienie art. 162 ust. o podat., mocą którego z wartości spadku odliczano dług zapisodawcy. Przy zastosowaniu tego prawa, według wyjaśnień departamentu kasacyjnego, dług zabezpieczony na majątku nieruchomym, może być potrącany z szacunku reszty majątku dziedzicznego i tym sposobem w pewnych wypadkach ulga, nadana wyłącznie dla ułatwienia przejścia własności ziemskiej *darmo* w inne ręce, uwolniłaby spadkobierców i zapisobierców od opłaty podatku również od kapitałów, tudzież innego majątku. Ażeby temu zapobiedz, nowe prawodawstwo postanowiło przy obliczaniu podatku od dóbr, przechodzących w inne ręce dziedzicznie, potrącać długi z tej części majątku (w stosunku do jego wartości), jaką je zabezpiecza.

Ważniejszą ulgą dla właścicieli ziemskich jest zmiana sposobu wyliczania podatku od prawa własności, pobieranego przy sprzedaży majątków. Dotychczas, wedle przepisów istniejących, podatek tej kategoryi był ściągany w stosunku do ogólnej ceny majątku, przechodzącego w ręce nowego właściciela, niezależnie od obarczającej owe dobra sumy długów, a zatem od ich rzeczywistej wartości. Przy takich warunkach, norma (4%) podatku od prawa własności w stosunku do majątków obciążonych długami, dawała tem wyższy procent opodatkowania istotnego szacunku, im większe było zadłużenie. Tym sposobem podatek był najcięższym dla właścicieli ziemskich, znajdujących się w najgorszych warunkach materyalnych. Tak np. przy zadłużeniu w stosunku 50%, pobór od prawa własności wynosił 8%, przy zadłużeniu 75%, dochodził do 16% itd. Takie obarczenie było wielkim szkopułem przy sprzedaży z wolnej ręki majątków odłużonych, oczywiście z ogromną stratą właściciela. Otóż nowe prawo zmienia sposób określania rozmiarów podatku; mianowicie—wymaga obliczania stempla szacunkowego od ceny dóbr, zniżonej o całą sumę wierzytelności towarzystw kredytowych, przepisywanych na nowonabywcę. W takich warunkach stempel będzie liczony wyłącznie od sumy, płaconej istotnie przez nabywcę na rzecz sprzedawcy. Co się zaś tyczy należności prywatnych, opartych na majątku, to na mocy prawa cywilnego, długi tej kategoryi muszą być pokryte przed spisaniem aktu sprzedaży, a wobec tego nie mogą być brane w rachubę przy obliczaniu stempla. Ograniczenie to dotyczy także Królestwa Polskiego i prowincyi nadbałtyckich, gdzie obowiązuje prawo hypoteczne, warunkujące przejście na nabywcę wogóle wszystkich długów, zahypotekowanych na majątku.

Zdaniem prawodawców, przepisy powyższe wpłyną na ożywienie sprzedaży majątków; ale do tego uciekać się będą jedynie słabi gospodarze, którzy w każdym razie nie mogliby w żaden sposób utrzymać majątków zadłużonych. Natomiast nowe prawo daje im ulgi, które pozwolą przejść „do nowej postaci pracy produkcyjnej." Jednocześnie wielu właścicieli, drogą sprzedaży pewnej części swoich dóbr, zmniejszy ciężar długów i będzie mogło nadal prowadzić gospodarkę, chociaż na warsztacie zmniejszonym. Rząd ma na względzie popieranie przejścia własności ziemskiej tylko w ręce mocne, ludzi prowadzących gospodarstwo rzeczywiście. W tym celu prawo stara się usunąć spekulantów, za pomocą pewnych ograniczeń: mianowicie—nie nadaje ulg przy obliczaniu stempla, w razie sprzedaży majątku przed upływem lat trzech, od chwili sprzedaży poprzedniej. Nowe ulgi nie przysługują również nabywcom dóbr na licytacyach i tym, przy których owe majątki zostaną, w razie gdy licytacya spełznie na niczem, ani też—instytucyom kredytowym. W pierwszym bowiem wypadku z ulg korzystaliby nabywcy, a nie sprzedawcy, w drugim—organy wcale nie potrzebujące takiej pomocy.

Ogólna suma ustępstwa skarbu na rzecz własności ziemskiej na mocy nowego prawa, wynosi, według przybliżonych obliczeń (podanych przez pismo ministeryalne: *Wiestnik Finansów*), około trzech milionów rubli, jako niedobór w podatku od prawa własności i niespełna 750,000 rs. jednoprocentowego od dóbr, przechodzących w inne ręce drogą spadku lub darowizny. Ale ofiary te, jak twierdzi organ powyższy, będą bardzo owocne, gdyż nowe prawo może wzmocnić szacunek majątków i popyt na ziemię. *P.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.



Traktat w Szymonoseki w dniu ostatecznego terminu, 8-ym maja, w Czy-fu ratyfikowano. Zapewne jednocześnie wymieniono i wzajemne deklaracye: jednę, zwalniającą Chiny z obowiązku wydania półwyspu Lia-tong (nazywają go teraz dzienniki Feng-tian) na zupełną polityczną własność, drugą, zapewniającą Japonii dopłatę do kosztów wojennych. Może między stronami stanął układ tajemny, utrzymujący moc pierwotnych umów, ale zrzeczenie się na razie, jawne, ostentacyjne, było ze względu na okoliczności nieuniknionem. Dopiero, gdyby z traktatu z d. 17 kwietnia usunięto zupełnie i zajęcie zbrojne półwyspu aż do zapłacenia całkowitej kontrybucyi, ustąpienie proste a bliskie już japończyków z Port-Arthuru i całej widowni wojny w Chinach trzebaby uważać za historycznie już ostateczne rozwiązanie sprawy w myśl noty trzech mocarstw. Jeżeli zaś obecne zajęcie półwyspu liaotońskiego trwać będzie dalej aż do spełnienia się wiadomego warunku, po upływie lat może *dententio*

zmienić się w *possessio*, a *possessio* w *dominium*. Przykład Bośnii jest tu wzorem. Kongres berliński wytworzył jakby nową formę przelewania własności politycznej: okupacyę.

Zawsze jeszcze zostanie na dalekim wschodzie dość żaru do płomienia. Sama niepodległość Korei bez ustąpienia japończyków z jej terytoryum będzie wysyłała ciągle płomyki, z których rozpalić się może pożar na nowo. Teraz, po ratyfikacyi, spodziewać się można ogłoszenia tego tylko traktatu, który był jawnym jej przedmiotem, a nadto uzupełniających go umów handlowych.

W Niemczech niepomyślna próba z odrzuconą ostatecznie w d. 11 b. m. „Umsturzvorlagą,“ podkopała powagę steru kierującego państwem. Rząd zbiera samo niepowodzenia: sejm odrzucił i jego projekt podatku tytoniowego. Palenie taniego tytoniu jest dla niemca jakby sprawą narodową; projekt kazał mu zbyt drogo rozkosz intoksykacyi tytoniowej opłacać: sejm, rzecznik narodu, w nowej polityce skarbowej dostrzegł jego krzywdę—i projekt odrzucił. Rząd nie ma na razie innego, którymby mógł odrzucony zastąpić, a skarb potrzebuje pieniędzy. Nowy zamęt przybywa do dawniejszego. Cesarz Wilhelm, dotychczas niestrudzony w ciągłej ruchliwości i nasycający się nią jakby rzetelną energią, zaczyna już czuć znużenie, widzi, że wdopnąwszy w Hohenlohego, dalej sobie już z nim nie poradzi, i radby się go pozbyć. Dla honoru jeszcze przetrzyma go przez uroczystości Kielskie, a potem podziękuje mu za niespożyte zasługi. Minister Köller, energiczny teoretyk praw sejmu, otrzymał zaproszenie na obiad, ale po obiedzie—dłuższy urlop. Do Kielu zaprosił cesarz i Capriviego.

Przyleciał nareszcie ptak dobrej wieści, od dwóch miesięcy upatrywany na widnokręgu Włoch. P. Crispi ogłosił dekret królewski, zwołujący wyborców na 26 maja. Pierwej dobrze ich ugniótł, aby z nich upiec ciasto bez zakalca. Cała ta dzisiejsza nędza polityczna Włoch potęguje tylko ich nędzę moralną: brak ideałów i zasad, cześć złotego cielca, przekupstwo, kłamstwo, obłudę i drapieżność. Dawny garybaldczyk, chcąc być Bismarkiem, stał się prawdziwie demoralizatorem swego narodu.

Francuzi na Madagaskarze pobili howajów już w głębi kraju, o 70 kilometrów od Majungi: zdobyli pozycye warowne, wiele dział—zapewne lichych—i zapasów. Krajowcy uciekli w popłochu. Nie osobliwa wróżba. Za miesiąc może nieprzyjaciel dotrzeć już do Antananarywo.

W Corinto anglicy już się uspokoili. Rząd nikaraguański płaci żądaną indemnizacyę. Wojny nie będzie.

Do Serbii przyjechała d. 10 b. m. królowa-matka Natalia, ale dopiero wtedy, gdy z Serbii, do Włoch, wyjechał Milan — z kieską oczywiście, bo dla niego to grunt. Królowę przyjmowano, jak tryumfatorkę, jak zbawczynię: zdaje się, że teraz ona będzie rzeczywistym królem Serbii. Stronnictwo postępowe, jeszcze trzymane u władzy, ustąpi radykalnemu, którego przewódca, Gruicz, były poseł w Petersburgu, ma zostać napowrót prezesem gabinetu.

Z Wiednia rozesłano d. 16 b. m. dwa telegramy w sprawie Banffy-Kalnoky; pierwszy w południe: „Wczoraj cesarz przyjął dymisyę Kalnoky'ego. Dziś miał posłuchanie Banffy. Cesarz zaprosił go na obiad.“ Drugi wieczorem. „Dymisya pewna. Po południu Josika był u cesarza. Następcą, według pogłosek, Agenor Gołuchowski.“

BADANIA NAUKOWE.

G. J. Goschen, *Teorya kursów weksli zagranicznych.* Warszawa. Przekład A. Peretza.

Przyswojenie obecnie naszemu piśmiennictwu ekonomicznemu książki Goschena stanowi bezwarunkowo rzecz charakterystyczną, świadczącą wymownie, jak późno zdobywamy się na przekłady. Dziełko bowiem statysty angielskiego ukazało się po raz pierwszy w r. 1861, a zatem przeszło przed trzema dziesiątkami lat, i od tego czasu doczekało się w swoim ojczystym języku aż piętnastu wydań. Lata więc szły, a my nie pomyśleliśmy o spolszczeniu tej pracy, aż póki nie zjawił się ktoś chętny. Lepiej jednak późno, niż nigdy, kiedy idzie o książki podobnej wartości. Trzydzieści lat nie nadwyrężyło zasadniczych wywodów autora, chociaż swoją drogą nałożyło na jego dzieło pewne piętno. Goschen w pierwszych wydaniach usiłował nadać swojej pracy koloryt współczesny, prostując to lub owo w przedmowach, lecz życie toczyło się tak wartkim potokiem, iż wreszcie zupełnie dał za wygranę i pozostawił rzecz bez uzupełnień. Okoliczność ta nie wywarła zbyt ujemnych skutków, bo jedynie przykłady, unaoczniające myśli autora, czynią wrażenie staroświecczyzny, zasadniczy zaś wątek wywodów zachował swoją jedność pierwotną i dawną trafność. Naturalnie, gdyby ex-kanclerz skarbu angielskiego pisał dzisiaj swoją książkę, to na pewno powiedziałby coś więcej nad to, co znajdujemy w jego rozprawie. Może, wobec olbrzymiego stosowania „weksli zagranicznych,“ uznałby za stosowne pomówić o rozmiarach tego ruchu oraz o naturze jego narzędzi dla główniejszych ognisk wymiany międzynarodowej. Może dodałby rozdział o technice kupna, przedewszystkiem zaś o działalności izb kompensacyjnych—tym terminem p. Peretz określa nazwę *Clearing-Hous'ów.* Ale są to usterki pomniejsze: czytelnik skutkiem tych opuszczeń nie ma tylko dokładnego obrazu doby dzisiejszej. Natomiast strona teoretyczna, mianowicie teorya weksli i ich kursu, zachowała w całej pełni swoją wartość. Nie dziw zresztą. Goschen bynajmniej nie należy do tych teoretyków, którzy, że tak rzekniemy, dziobią jedną książkę po drugiej, czynią wyciągi i notatki i wreszcie drogą kompilacyi eklektycznej układają rzecz nową i swoich rodaków częstują nową doktryną „syntetyczną.“ Raczej z charakteru swego odtwarza on typ dawnych pisarzy o rzeczach społecznych, którzy roztrząsali zjawiska życia narodowego na podstawie doświadczeń własnych i dawali tem samem spostrzeżenie bezpośrednio. Autor jest bankierem, należy do wybitniejszych mężów partyi unionistyczno-torysowskiej, za gabinetu Salisbury'ego piastował urząd kanclerza skarbu. Jest to zatem człowiek, który może powiedzieć coś

---

9)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ DRUGA.

MORONOWIE.

Widok 14.

Maleńka lampka łojowa daremnie usiłowała pokonać słabem światełkiem mrok izby i jak gdyby czując swą niemoc, kładła tylko delikatne odblaski to na smutną twarz Orli, to na poważną jej matki, która dziergając z przędzy wełnianej kaftan dla syna, koiła upomnieniami tęsknotę córki.

Lida.

Moje drogie dziecko, bogowie ochraniają człowieka, w którego czystej duszy przeglądać się mogą. Kiedy po stworzeniu świata najwyższy bóg, ażeby nie oślepić ludzi i zwierząt zbytnią jasnością, zmrużył jedno oko a drugiem obejrzał z nieba ziemię dla przekonania się, czy ładnie ją urządził, wszystkie jej twory—piaski, wody, zioła, drzewa zaczęły mu z ognistej źrenicy chwytać promienie i przystrajać się nimi. Był to dzień, ale skoro bóg przestał patrzeć, nastała noc. Wtedy rośliny, które nagle straciły barwy, zaczęły wzdychać pachnącemi woniami i płakać rosą. Litościwy bóg wyjął sobie z oblicza jedno oko i osadził je w sklepieniu nieba, z którem ono codziennie się obraca. Jest to słońce.

Orla.

Czemu dobry bóg zamyka to oko na noc? Nie widzi, co się wówczas dzieje.

Lida.

Słońce, zmęczone całodziennem patrzeniem, musi odpocząć. Na noc bóg wysyła ku spodowi nieba aniołów, których oczy są gwiazdami i którzy, cokolwiek dostrzegą, zaraz mu donoszą.

Orla.

A księżyc?

Lida.

To jest dowódca tej boskiej straży.

Orla.

Szkoda, że sam bóg ciągle nie patrzy na świat obydwoma oczami. Mateczko, już tak późno, a ich jeszcze nie ma...

Lida.

Do gór daleko... a w górach iść ciężko... Nasi bogowie żyją zgodnie, ale inni podobno kłócą się ciągle. Mój nieboszczyk brat był za wieloma morzami na północy i mieszkał w krajach, które dużo cierpią od tych boskich swarów. Dopóki w niebie panuje pokój, na ziemi jest ciepło, ale skoro wybuchnie wojna, wszystko kostnieje z chłodu. Gdy aniołowie zaczną się bić, to nieraz przez kilkadziesiąt dni spadają z nieba ich białe pióra, które lud tamtejszy nazywa śniegiem i które pokrywają całą ziemię grubem i miękiem futrem. Nareszcie po skończonej walce aniołowie w nocy zlatują i zbierają te piórka, a wszystkie rośliny odzyskują życie i nastaje wiosna.

Orla.

Są takie złe anioły?

Lida.

Są, ale nie u nas, nasze wszystkie dobre.

Orla.

Gdyby one chciały pomódz Arjosowi i Tylonowi w podróży! Im coś się stało.

Lida.

Ręczę ci, że są już blizko.

Orla.

Ja bym ich przeczuła, a szczególnie Arjosa. Tymczasem zdaje mi się, że jakaś siła coraz dalej go odrzuca i zarazem mnie pociąga. On z pewnością jest w tej stronie, na zachodzie, bo chciałabym tam iść. Mateczko, mnie znowu coś w tej chwili szarpnęło—Arjos oddalił się.

Lida.

Tak zwykle tęsknota drażni się z ludzkiem sercem.

Orla.

Tyle razy już rozstawałam się z Arjosem, a nigdy nie wsuwała mi się do duszy taka trwoga, jak dzisiaj.

Lida.

Od wczoraj dopiero jest twoim mężem.

Orla.

Alboż ja go przedtem nie kochałam? Bogom, tobie, Tylonowi pozostawiłam za-

ciekawego i, dodajmy, umie też to uczynić. Przekład więc rozprawy o kursie weksli zagranicznych, acz mocno spóźniony, przecież bynajmniej nie jest zbyteczny, tem bardziej, że w naszem piśmiennictwie nie zgoła nie posiadamy w tym przedmiocie.

Przyjrzyjmy się w krótkości głównemu wątkowi wywodów autora oraz naturze zagadnień, rozpatrywanych w jego książce.

Dla uproszczenia bierzemy przykład, przytoczony u Goschena i dotyczący stosunków wewnętrznych tego samego kraju, a zatem „weksli wewnętrznych.“ Przypuśćmy mianowicie, że Nowy-Orlean, tj. jego domy handlowe, względnie obywatele zadłużyli się u Nowego-Yorku na pewną sumę, którą winni w danym terminie zwrócić, mniejsza czy to są wypłaty z powodu wziętych towarów, lub zwroty zaciągniętych pożyczek, albo czy zobowiązania te są jeszcze innej natury. Orlean ma więc wysłać do New-Yorku pewną kwotę w złocie, płacąc za sto dolarów w tym kruszcu półtora dolara kosztów przewozowych. Dajmy jeszcze na to, że w podobnem położeniu względem Nowego Orleanu znajduje się także Nowy York, tj. że w tym samym terminie, dla wywiązania się ze swoich długów, powinien wysłać pewną ilość złota i uiścić za transport odpowiednią kwotę. Zatem obie strony muszą dokonać pewnych transportów, które, raz uskutecznione, w ostatecznym rezultacie, jeżeli sumy nawzajem dłużne są jednakiej wielkości, pozostawiają stan gotówki w obu miastach na dawnym poziomie: ile bowiem z jednego odpłynęło, równie tyle przypłynęło. Koszty więc, poniesione na przewóz w tym wypadku, stanowią wydatek bezużyteczny w gospodarstwie narodowem, słowem to, co ekonomiści ochrzcili specyalną nazwą *faux frais*. Życie ekonomiczne usiłuje rozstać się z takim wydatkiem nieprodukcyjnym i czyni to w sposób następujący: Przypuśćmy, że *A* winien pewną kwotę *B* w New-Yorku i musi wysłać należność w kruszcu z Orleanu. Zamiast wysyłania gotówki, poszukuje w swojem mieście kogoś, kto posiada do odebrania dług pewien w New-Yorku, kupuje więc od niego jego weksel na *D* w tem ostatniem mieście i wysyła swemu wierzycielowi, który odbiera tam należność od owego *D*. Walor taki właśnie nosi miano „weksla.“ Korzyści z owej czynności odrazu rzucają się w oczy. Przesłanie takiego dowodu, zamiast gotowizny w złocie, stanowi sprawę o wiele dogodniejszą, bo prócz mniejszych kosztów transportu, zaoszczędza jeszcze mnóstwo kłopotów. Wprawdzie *faux frais* pozostają, lecz są osłabiono w swojem napięciu.

Idzie teraz o to, w jaki sposób i według jakich zasad będzie się odbywało owo kupno weksli, czyli od czego zależy ich kurs.

Przypuśćmy znowu, iż różnice w stopie procentowej pomiędzy obu rozpatrywanemi miastami nie istnieją; nie bierzmy w rachubę niejednakowości terminów, tj. przypuśćmy, że wzajemne wypłaty przypadają w tym samym terminie. Gdyby w takim wypadku suma weksli na New-York, zaofiarowana w Orleanie na sprzedaż, równała się sumie, potrzebnej na zaspokojenie należności, przypadających temu ostatniemu miastu od tamtego, czyli gdyby zadłużenie jednego odpowiadało ściśle wierzytelnościom drugiego, to wtedy podaż odpowiadałaby zapotrzebowaniu i cena weksla stodolarowego, płatnego za okazaniem w New-Yorku, wynosiłaby sto dolarów. Równowaga ta będzie nadwyrężona, kiedy wzajemne wierzytelności nie pokryją się. Mianowicie dajmy na to, iż N. Yorkowi należy się więcej, aniżeli od niego Orleanowi. Mający płacić w tamtem mieście pospieszyliby wtedy z nabywaniem weksli na N. York, chętnie płaciliby za sto dolarów pewną nadwyżkę, np. pół dolara, byleby tylko zabezpieczyć sobie taką ułatwioną drogę transportu. Inaczej bowiem musieliby wysyłać złoto i płacić od tej samej sumy już nie pół, ale półtora dolara. Im zobowiązania będą większe, niż strony przeciwnej, tem bardziej nadwyżka ta będzie rosła, aż wreszcie, przy pewnym szczególnym układzie, opłacane *agio* dosięgnie owej całej półtoradolarowej sumy. Kiedy zaś dojdzie ono do takiej wysokości, naówczas dla nabywających — „remitentów“ — będzie już rzeczą obojętną, czy mają wysyłać swój dług w gotowiznie lub też nabywać weksle dla jego zaspokojenia. Otrzymujemy więc maksymalną granicę dla wzrostu kursu weksli przy naszem prostem założeniu. Byłoby odwrotnie, gdyby się okazało, iż weksli w Orleanie jest więcej, aniżeli nabywców. Wtedy sprzedawcy, „trasenci,“ przeczuwając, iż wywóz ich może obciążyć strata 1½%-owa za koszt przesyłki gotowizny z N. Yorku, zgadzają się ponieść pewien uszczerbek, byleby tylko zaoszczędzić sobie tego wydatku. Naturalnie owa strata, „damno,“ nie może przewyższać kosztów przesyłki, które oceniliśmy na 1½ dolara. Otrzymujemy więc drugą, minimalną granicę dla wahań. Gdyby inne warunki kształtowały się zgodnie z naszemi założeniami, kursy wekslowe wahałyby się pomiędzy tymi dwoma punktami krańcowymi, tj. co najwyżej dochodziłyby do 101½ za 100 lub spadały do 98½. Są to jednak wypadki zbyt proste, wyprowadzone jedynie dla uproszczenia analizy, lecz niemal nieistniejące w życiu ekonomicznem, które jest bardziej złożone. Przedewszystkiem bowiem zobowiązania dotyczą różnych terminów, tak że niekiedy ktoś, chcąc natychmiast zaspokoić swój dług, nabywa weksel, płatny dopiero po upływie paru miesięcy. Wraz z tem powstaje nowy czynnik, wpływający na kurs weksli. Teraz ktoś, nabywając weksel, wystawiony na termin późniejszy, i płacąc za niego gotowizną, nie uiszcza za niego całej sumy, ale odlicza procenty, przyczem pod uwagę musi wziąć nietylko stopę odsetkową w miejscu nabycia waloru, ale także w miejscu wypłaty za niego należności. Nadto przy nabyciu weksli długoterminowych trzeba równie uwzględnić możliwe zakłócenia na rynku pieniężnym, i ryzyko będzie tem większe, im termin jest bardziej oddalony i ówczesne stosunki trudniejsze do przewidzenia. Następnie rodzi się kwestya rękojmi, która również wpływa na kurs weksli. Cena, jaką kupiec, pewny w wypłatności, osiągnie, za swoją dwumiesięczną trattę, będzie wyższą, aniżeli za weksel, trasowany (odstępowany) przez kupca drugorzędnego. Nabywcę podobnego przekazu trzeba drogą ustępstwa skłonić do przyjęcia towaru, przedstawiającego mniejszą rękojmię; musi być wynagrodzone jego ryzyko. Stopień zaufania wprowadza znaczne różnice w kursie tratt z tym samym terminem i niekiedy wekslom długoterminowym udziela wyższego kursu, aniżeli tym, któ-

---

ledwie cząstkę moich myśli, a jemu oddałam wszystkie. Wy nie gniewaliście się za to na mnie, ale bogowie?

Lida.

Oni o miłość nie są zazdrośni, tylko o cześć.

Orla.

Mateczko, ja Arjosa także czciłam.

Lida.

Bogowie ci to przebaczyli. Nie trap się, moje dziecko. Z Arjosem poszedł Tylon, a wiesz, jaki on mężny. Kiedy go nosiłam w łonie, ciągle śniły mi się lwy, które on ujeżdżał i do wozu zaprzęgał. Będąc małem chłopięciem, strzelał z łuku tak celnie, że strącał jarząbki w locie. A potem! Czyżby go Mirowie obrali wodzem obrony rodu, gdyby nie ufali jego waleczności i rozumowi?

Orla.

Prawda.

Lida

A i Arjos nie jest bojaźliwym królikiem. Czy ty myślisz, że on umie tylko ładne pieśni układać i czule w twoje oczy patrzeć?

Orla.

Wiem, nieraz bywa tak straszny, jak gdyby nagle zdziczał. Zwłaszcza gdy wspomni o Moronie. Ale wtedy kładę mu rękę na głowę i natychmiast się uspokaja. Bogowie nie stworzyli go do gniewu, lecz do kochania. On chciałby wszystkich miłować.

Lida.

Jak ciebie?

Orla.

O, nie, dla mnie ma osobne uczucie. Powiada, że nawet ode mnie nie zaczyna najlepszych ludzi liczyć. Pytam go kiedyś, ile zna ładnych dziewcząt. Wymienił mi kilka. A ja?—wtrąciłam zalękniona. Ty—odrzekł—nie jesteś pierwsza, lecz jedyna, koło ciebie żadna nie stoi i żadna po tobie nie następuje. Często mi to powtarza. Ja bym tego nie rozumiała, gdyby on nie wydawał mi się także niepodobnym do innych.

Lida.

To dobrze, moje dzieci, że się tak kochacie. Miłość wszystko zastąpi, a jej—nic.

Orla.

Nie pojmuję, czemu ludzie tak rzadko się kochają. Gdyby oni bodaj przez chwilę doznali tej rozkoszy, co ja... Chociaż przysięgam ci mateczko, że Arjos dopiero wczoraj po raz pierwszy mnie pocałował.

Lida.

Dziwię się...

Orla.

Kiedy ja bym mu była nie pozwoliła.

Lida.

Albo to prawda!

Orla.

Mateczka wątpi? No, chyba by się był bardzo uparł, albo bardzo prosił.

Lida.

Naturalnie, ale właśnie dziwi mnie, że ani się nie uparł, ani nie prosił.

Orla.

Może bogowie byliby nas za to nie pobłogosławili... Zresztą zapytam go. Gdzie on się podział! Niedobry, jeśli się nie spieszy. Przecież wie, jak niecierpliwie go czekam. Co ja mówię! Arjos jest dobry, on zawsze przychodził wcześniej, niż obiecał. Mój najdroższy kochanku, nie usłyszysz nigdy skargi mojej, bo na nią nie zasłużysz. Ach, ta noc, ta noc... dłuższa i czarniejsza od innych! Jeśli bogowie nie mogą ludziom oszczędzić smutków, powinni je przynajmniej zsyłać na ludzi w dzień... Powiedz mi, mateczko, po co jest na świecie [illegible]

Lida.

Ażeby wszyscy odpoczęli.

Orla.

Gdyby dzień trwał ciągle, każdy pracowałby wolniej i nie męczył się. Ja nocy nie lubię, ona mi wcale niepotrzebna.

Lida.

Dziś.

Orla.

Wyrzeknę jej się na zawsze.

Lida.

Żałowałabyś...

Orla.

Więc niech sobie będzie, niech ciągnie się bez przerwy, aby tylko Arjos mi w niej świecił. Zdaje mi się, że ktoś do drzwi puka...

Lida.

Rzeczywiście.

Orla.

Arjos!..

(D. c. n.)

rych spłata przypada w bliższym okresie czasu.

Zastąpmy teraz Orlean przez Anglię, Nowy York przez Amerykę lub jakikolwiek kraj inny, a kompensata, dokonywana wtedy, będzie dotyczyła „weksli zagranicznych.“ Chociaż zamiast dwóch miast, rozpatrujemy dwa kraje, nic zgoła nie ulega zmianie w zasadniczych prawach, rządzących obrotami wymiennymi. Ale przybywa jeszcze parę nowych czynników, które dorzucając swoje działanie, czynią kwestyę kursów jeszcze zawilszą. Przedewszystkiem niepomiernie rozszerza się i wikła sfera obrotów. Są kraje, które wzajemnie pomiędzy sobą nie posiadają o tyle rozwiniętych stosunków, azeby wprost wymieniać swoje weksle, i muszą szukać pośrednictwa innych. W chwili, kiedy Goschen pisał swoją książkę, Anglia była takim punktem środkowym, po przez który przechodziły nici wymiany wekslowej. Następnie różnice w stopie procentowej, rękojmie, dawane przez trasentów itd., wzrastają równie i oddziaływują na kursy, wikłając sprawy coraz mocniej. Wreszcie przybywa jeszcze inny czynnik, mający doniosłość pierwszorzędną. Jeden kraj posiada walutę złotą, drugi srebrną, albo nawet papierową. Trzeba więc wziąć pod uwagę te okoliczności, które niekiedy bywają natury bardzo złożonej, zwłaszcza w wypadku kupna weksli długoterminowych. Wtedy bowiem należy równie uwzględnić, że zanim nadejdzie termin, kurs papierów może ulegać bardzo silnym zmianom. Jest to czynnik, oddziaływający najpotężniej. Stopa procentowa, przewyżka długów nad wierzytelnościami, popłoch lub odległość sprawiają wahanie w kursie na kilka procentów, i dziesięcioprocentowe zmiany, jako następstwo tych wszystkich warunków połączonych, nie należą za nadzwyczaj rzadkie. Przy rozbiorze oddziaływania waluty, spostrzegano zmiany, dochodzące do 50%.

Taka jest sfera zagadnień, potrąconych przez angielskiego męża stanu w jego książce. Przyglądając się danemu zjawisku, widzimy wyraźną dążność do zmniejszenia obrotów, czysto pieniężnych. Dążność ta jeszcze silniej uwydatnia się w działalności izb kompensacyjnych—instytucyi, prawie nieznanej dla naszego ogółu, która zmierza do uczynienia pieniędzy niepotrzebnemi w pewnej sferze obrotów. Niezależnie od Goschena, zatrzymamy się nad tem urządzeniem szczegółowiej w następnym numerze.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY Z PARYŻA.

Ostatnia powieść Alfonsa Daudeta: *Mała parafia* („La petite paroisse.“ Paryż, 1895).

„Mała parafia“ Alfonsa Daudeta ma smak korzenia fijołkowego. Jak po nim dostawałem nudności, choć dzieciaki, którym go matki wkładały do ust, ssały go z rozkoszą, tak po tej moralizatorsko nastrojonej powieści, z ckliwie mdłym stylem i słodkawem przedstawieniem chce mi się nieprzeparcie splunąć. Co za lektura dla czułych serc, ile lukrecyi w niej, słodyczy burakowej!

A dramatyczności, szlachetnych charakterów, melodramatu, tonów katarynki? Chyba u panny Scudéry z siedemnastego wieku jest ich więcej. Z nowszych u Ohneta i Sudermana. I to pytanie. Doprawdy ten utwór o 450 stronicach powołany jest do wielkiej przyszłości. Winien mieć pokup znaczniejszy niż „Nemrod i spółka“ i „Es war.“

Na okładce napis: „zazdrosny nie ma spokoju, ani wieczorem, ani rano.“ Więc będzie traktat o zazdrości.

Ale już tu zapoznajemy się z dokładnością określeń i co stąd wypływa: jasnością pomysłów autora. Bo o ile może być mowa o zazdrości w „Małej parafii“?

Ryszard Fenigan, właściciel małego majątku w Uzelles, poślubia Lidyę, nieznanych rodziców, wychowankę sióstr miłosierdzia z pobliskiej wioski. Kobiecie namiętnej, o usposobieniu cygańskiem nie zupełnie odpowiada nieśmiały, spokojny mąż. Chwyta więc chciwie przynętę—przeżytego dziewiętnastoletniego księcia Szarleksisa Alcantarę, zawiązuje z nim stosunek miłosny, wreszcie razem uciekają.

Po kilku tygodniach książę Szarleksis sprzykrzywszy sobie nową kochankę, rzuca ją. Lidya w rozpaczy strzela do siebie z rewolweru, szczęściem lekarze nadpływającej floty ratują nieszczęsną, a matka Ryszarda, która odkryła ją w chwilę po zamachu samobójczym, otacza opieką i po wyzdrowieniu oddaje zbłąkaną owieczkę w ręce pasterza: syna.

Dodajmy, że aż do chwili ucieczki Ryszard Fenigan nie przeczuwa sprzeniewierzenia się, że po powrocie Lidyi, zapomina o przeszłości. Gdzież zazdrość!

Zaznaczenie pierwszego stałego punktu niejasności myśli u Alfonsa Daudeta, aż zbyt częstej, miałoby wartość drugorzędną, gdyby zresztą powieść posiadała odpowiednią siłę odporną na zarzuty; niestety, tak nie jest. Choćby przynajmniej motyw tytułowy! Nazwa powieści pochodzi od kościołka, który Napoleon Mériset, kawaler orderu świętego Grzegorza, wzniósł na cześć żony Ireny, także ongi jeszcze niewiernej. Tymczasem w istocie kościołek ów nie gra żadnej roli w utworze. Wprawdzie Ryszardowi opowiada Mériset dzieje jego zbudowania, ale opowiadanie nie wywiera wpływu, bo Ryszard gotuje się w pogoń za zbiegłymi, i tylko dla słabości woli, jakoteż wskutek przybycia kuzynki Elizy, która według umowy z matką, ma go ująć w swe sidła, nie dokonywa zamiaru. Drugi raz kościołek bierze niby udział w nawróceniu matki Fenigan. Przez cały czas pobytu Lidyi nieżyczliwa dla synowej po ucieczce, idąc drogą z wysłańcem ojca Szarleksisa, błagającym o niedopuszczenie do pojedynku między Ryszardem i młodym księciem, wstępuje do „małej parafii.“ Odmawia „Ojcze nasz“; słowa: „i odpuść nam nasze winy,“ tak rozpłomieniają się w jej umyśle, że odtąd wszystko widzi inaczej, Lidyi przebacza i szuka jej. Głównie modlitwa wywarła wpływ, częściowo może zapewnienie wysłańca, że Lidya jest bardzo nieszczęśliwą, ale oddziaływania wypadku Mériseta, w którym postawienie kościoła jest tylko uzewnętrznieniem toku myśli bohatera, pisarz nie zaznaczył ani jednem słowem w danym momencie, ani jednem drgnieniem w całym rozdziale. Więc powieść raczej „Ojcze nasz“ winna się nazywać.

Przetknięcie utworu czarną wielką szpilką tendencyi pozostawia wrażenie jaknajujemniejsze. Bez wątpienia jest dość sympatycznem, wobec modnego we Francyi strzelania w niewierne żony, zwalczanie potworności, zaszczepionej w znacznej części przez romansidła brukowe. Ale pisarz z talentem potrafi samem przedstawieniem wypowiedzieć, o co mu chodzi, nie potrzebując etykietek lub bardzo przejrzystych dyalogów nakręcanych. Niech przebaczenie płynie z serca, niech będzie czynem krwi, mięśni i kości, nie maryonetek lub bladych cieniów. Niegdyś rozbierając w *Prawdzie* nowelę Coppée'ego („Długie i krótkie“ *), zatrzymałem się dłużej nad utworem „Przebaczenie,“ poruszającym tenże motyw. Wielki poeta francuski dał arcydzieło. Ale bohaterzy—rodzina robotnicza, nie rozpraszali się w banalnem gadaniu, nie mieli przed oczami paralel Merisotowskich. Mąż przebaczył żonie, bo widział w niej matkę swych dzieci, czuł, że jeszcze jakieś wspólne nici łączą ich dusze, bolał nad jej poniżeniem, ona także chciała zapomnieć, co zrobiła i tak rana bez polowania blagą i morałami zwarła się, zrosła i zabliźniła sama przez się.

Ile przytem obnetowstwa w „wielkiej“ powieści, tłomaczonej zapewne na wszystkie języki! Dla podniety zaciekawienia, autor dodał kryminalne powikłanie po powrocie Lidyi. Księcia Szarleksisa zabitego znaleziono w parku. Na kilka dni przedtem ojciec jego otrzymał list z pogróżkami; podejrzewano o autorstwo Ryszarda, więc jakkolwiek wykazał swą nieobecność w chwili śmierci księcia, zatrzymano go w więzieniu. Cała rodzina żyje w obawach, na szczęście prawdziwy zabójca znajduje się. Gajowy Santecoeur zabił Szarleksisa nocą, gdy wykradał się przez okno z izby jego synowej. Książę Alcantara dla uniknienia skandalu wycofuje sprawę. Inna romantyczność: Przy końcu książki odnalazł się dziadek Lidyi, jest nim żebrak Mendelsohn, który bardzo często przechodził koło domu Ryszarda—budząc, dodajmy, we wrażliwej Daudetowskiej kreacyi oburzenie i wstręt...

Jakże pięknie odbija przy bogatej w różności „Małej parafii“ prosta, jak niezapominajka polna, nowelka Coppée'go.

Jak styl i język blade i ubogie w obrazy, tak i osoby powieści Daudeta są nieznaczne, galaretowate, bez wyraźnych zarysów. Żyją tylko fabułą powieściową, ich byt psychiczny zamyka się w obrębie ról. Po za tem nic, żadnych rysów drobnych, żadnego z nieznanych szczegółów, które w całości portret składają, chociaż są mniejsze od czarnych mrówek. Ryszard, Lidya, pani Fenigan, to trzy mielizny, umieszczone tylko rozmaicie. Lecz każda podobna do drugiej, z tą samą warstwą żwiru na dnie.

Ubóstwo, jeśli nie brak zupełny epizodów, opudrowanie co najmniej większości osób szlachetnością, Bourgetowską czołobitność przed księdzem Céresem, a zarazem *wzgardliwe* wykrzywianie ust na widok żebraka pijanego i padającego w błoto, także chyba nie budują. Dosyć pocieszną jest w końcu filozofia książki:

I tak zakończenie jest apologią tezy, wypisanej na str. 168 o nieracyonalności rozwodu. Nierozerwalność małżeństwa zacieśnia węzły. Bardzo słusznie — tylko nie zawsze. Usprawiedliwianie Lidyi wzbudza politowanie słabością argumentów. Ani słówka o tem, że kobietę z mężczyzną powinna łączyć wspólność myśli, wspólność pracy, pokrewieństwo ducha. Nic. Dla Daudeta macierzyństwo, dobra teściowa i zgadzający się na podróż poślubną mąż, zupełnie wystarczają. Ponieważ te trzy warunki w związku młodych Feniganów były bardzo niedoskonałe, więc logiczny wynik jasny: pogląd, harmonizujący z innemi głębokiemi zapatrywaniami burżuazyi. Jaka szczęśliwa burżuazya francuska, skoro trzy tylko wymienione rzeczy jej wystarczą. I jaka nieszczęśliwa, że często nawet tych trzech jej brak...

„Mała parafia“ ma współzawodniczyć z utworami Dostojewskiego. Oto pozew, wystosowany przeciw wielkiemu pisarzowi rosyjskiemu:

— Nie lubię twórcy „Braci Karamazowów“ — rzekł ksiądz Cérès — bo wprowadził w modę rosyjską litość...

— Co to znaczy rosyjska litość?

— Litość *niesprawiedliwa* dla zbrodniarzy i przestępczyń, rozczulająca się nad cierpieniami galer i innych złych miejsc, jak gdyby nieszczęście było wzruszającem tylko w zbrodni. Ileż to wszyscy znaliśmy dzielnych żon robotniczych, wysilających

*) 1893, nr. 29, str. 318.

się na pracę w domu i wychowanie dzieci, znoszących bez skargi bicie (jakie sympatyczne!) i biedę, a gdy Dostojewski rzuca swego Rodyana do stóp dziewczyny upadłej, symbolizującej w jego oczach całą nędzę ludzką, znajduję, że hańbi nędzę i czerni ludzkość."

W Bugiel.

LITERATURA POLSKA.

Poezye F. Arnsztajnowej (F. A. M.), Henryka Jakubowicza, Kazimierza Tetmajera (serya druga) i Włodzimierza Zagórskiego (serya nowa).

Gdzie są podziały czasy, kiedy poezyę — tak samo jak nieco wcześniej lub później filozofię, historyę, przyrodoznawstwo — uważano za mistrzynię życia, za przewodniczkę przeznaczeń ludzkich i wskazówkę najgłębszych jasnowidzeń ducha? Gdzie są pokolenia, które wieszczom przypisywały cudotwórczą niemal moc początkowania na drogach czynu, postępu, odnowienia? Gdzie szukać pisarzy, coby wciąż jeszcze mniemali, że od wzrostu lub upadku pewnego jakiegoś kierunku poetyckiego (np. romantyki) zależeć może dola lub niedola całego społeczeństwa? Rozchwiało się to i rozwiało, jak mgła poranna, o której nie wiadomo, czy poszła w górę, czy na ziemię spadła, zwiastując bądź pogodę na dzień jutrzejszy, bądź burzę. Dziś, ilekroć do ucha lub do serca ci wpadnie końcówka raźniejsza, zwrotka żywiej skrzydełkami rytmu w powietrzu bijąca, wiesz z góry i bez pytania, że to już tylko odgłos doby przeżytej, spóźnione echo tęsknot, żalów albo też przypomnień, które po odpływie dawnych zachwytów i gorączek, samotnie się błąkają wśród pustek prozaicznego, zniecierpliwionego otoczenia.

Są niezawodnie w tych szmerach i odgłosach przeszłości silne i gorące rzuty natchnienia, jest nawet wystarczający zapas dzielności artystycznej, aby dopędzić uciekające fale i płynąć razem z niemi, jak np. w doskonałym wierszu p. Arnsztajnowej do matki: „O nie płacz, że wicher czasu, co istnienia kruszy, jak lalkę dziecię bezmyślne, okrutnie w dzikiej igraszce stargawszy Twą lutnię, drżąco na ustach zepchnął w głębie duszy Twe pieśni. O nie płacz! Wśród ciszy nocy jęk bólu tłumiony, żar pragnień, modły, łzę, co w oku pała — Twej duszy perły jam wszystkie zebrała i nanizała na lutni mej struny Twe pieśni. O nie płacz! Ja z lutnią dźwięczną u stóp Twoich siedzę, o Matko moja, i śpiewać Ci będę Twe pieśni..." Ale cóż z tego, skoro po pierwszem zaraz uderzeniu wioseł widzimy i czujemy, że ramiona słabną i potężnym zamiarom skutek dopisuje opornie, coraz oporniej. Pomimo wysileń nadmiernych, szczere współczucie w nas budzących, pomimo nawiązywania coraz to nowych bander i żagli, lirycznych, melodyjnych, rapsodowych, łódź zaledwie się wysforuje poskokiem błyskawicznym na pełniejsze przestworza — a oto wnet już na mieliźnie osiada. Więc ponowne próby i ponowne męczarnie — próby niekiedy wcale udatne, szczęśliwe, jak np. „Jesienią" (dwa ustępy pod tym tytułem na str. 24 i 43), „W górach" (wszystkie trzy fragmenty) lub „Prządki" ale też i męczarnie takie, że pod ich wrażeniem gotowiśmy poczytywać za najzupełniej zgodne z rzeczywistością to, co nam na zamknięcie tych niepowodzeń, które nas bolą, powiada sama poetka: „O matko moja, pocoś dzieciom włożyła iskrę do łona? — Iskra się w płomień rozpala... Dziś wrzącą lawą krew w żyłach płynie... O matko, dziecię twe kona — pierś mu rozrywa ta fala."

Wody, na które się p. Henryk Jakubowicz puścił w swem „Być czy nie być," w swej „Aspazyi," w „Pieśniach bez tytułu," „O szarej godzinie," itd., są znacznie spokojniejsze i poniekąd płytsze, walka z niemi nie przedstawia niebezpieczeństw, a jednakże i tu jeszcze zdobycze i tryumfy nie odpowiadają ani zamiarom, ani odwadze. Czy autor jest zbyt młodym, czy już za starym, odgadnąć nie umiem, ale to pewna, że siły go opuszczają i oddech słabnie niemal za każdym czwartym wierszem. „Już we krwi toną ludy Hellady, już grzmią dokoła zajadłe boje, nad całą Grecyą tchnie duch zagłady..." — nieprawdaż że wdziękowi i pełni tej dykcyi nie zgoła nic ma do zarzucenia i że po tych trzech wierszach jesteśmy całkowicie pewni czwartego, o wiele jeszcze energiczniejszego; tymczasem trafiamy na szkopuł najfatalniejszy: „*a wszędzie trupów i rannych roje!..*" Albo też: „A cała postać, jak sen artysty, potężna wdziękiem, wielka urokiem, udziela piersiom ławy ognistej." Naturalnie, że po udzieleniu czegoś podobnego oczekujemy na trzaśnięcie co najmniej piorunowe, otrzymujemy zaś tylko: „*i włada każdem sercem i okiem...*" Powtarzają się zaś owe omdlenia o tyle często, że myśl o ostatnim, finałowym czterowierszu zawczasu dreszczem nas przejmuje. Ale akurat na tym punkcie doznajemy najmilszego zawodu: czwarty wiersz zakończenia jest przepyszny, wspaniały. Opisawszy zgon Peryklesa i żałobę Aten („Smutno wokoło, z za czarnej chmury przyświeca sława świetlana oręża, i usiadł naród w dumie ponurej i w dal niepewną oko wytęża"), poeta zapytuje z kolei, co się stało z Aspazyą, „heterą cudną"? Szaleje zapewne z bólu, sztylet zatapia w śnieżnem swem łonie? — Nie, ona „z innym już dzisiaj łoże swe dzieli." A tu właśnie następuje *finis coronat opus*: „Któż do jej serca odnalazł wrota, któż to tak prędko schwytał ją w sidła? — To ten, co worem zabrzęczał złota: stary Lizykles, hodowca bydła!.." Jak na wiek XIX, zgodzić się trzeba, taran zamknięcia jest miażdżący, unicestwiający, ale chcąc, żeby ogłuszenie trwało nieco dłużej, koniecznie zapomnieć trzeba, że istniała kiedykolwiek starożytność, i że w niej Homer opiewał pastuchów „boskich."

Mniejsza o to. Jakkolwiek miejsc nikłych, bezbarwnych, pretensyonalnie chybionych — szczególnie w „Pieśniach bez tytułu" — pełno u p. Jakubowicza, wierszowanie jego w ogólności podoba się, daje się czytać z przyjemnością, którą podnosi bardzo ładne, estetyczne wydanie zbiorku... Czemże się jednak dzieje, że odkładając na bok różowy ten tomik z ładnemi klamerkami, kapitelkami, winietkami, czujemy w sobie jakiś jeszcze niepokój, wyrzut sumienia?

Oto zdaje się nam teraz, żeśmy zawcześnie nieco rozstali się — nie z p. Jakubowiczem, lecz z p. Arnsztajnową. Najpierw nie mamy pewności zupełnej, że ją rzeczywiście fala zalała — czy też „rozerwała." Powtóre, choćby nawet istotnie tragiczny taki wypadek był zaszedł, to przecież zdarzają się oceanie, bywają metamorfozy. Poetka, w rzeczy samej, napomyka nam coś o promieniach księżycowych, o obłokach, o ptaszynach z roli... Zobaczmy, co to jest. „Błogim snem spowite leżą wkoło ciemnych gór gromady; przez okienko zajrzał do mnie współtowarzysz — księżyc blady. Wpół ciekawie, wpół litośnie patrzy w łzami zaszłe oczy... Cichy, smutny mój kolego, ty znasz ból, co pierś mą tłoczy; ty jak ja, wędrowiec wieczny, idziesz, gdzie cię los prowadzi.. Już obojeśmy zmęczeni — ach, oboje spocząć radzi..." „Spoczywam w trawie i tęsknem okiem spoglądam na chmury sine, i zdaje mi się, że jestem obłokiem i z niemi pospołu płynę... Coraz to nowe oglądam błonie, i płynę, płynę powoli, i tylko czasem łzę deszczu uronię na widok ludzkiej niedoli..." „Oj wy chmury, oj wy sine, oj wy ciemne, weźcie wy mnie z sobą na dolinę. Tu, na górze, na wysokiej, tu na skale, na wyniosłej, chociaż bliżej nieba, tak mi nudno, tak opacznie... — bo mi ziemi trzeba. Bo tej ziemi, tej rodzonej, bo tej płaskiej, tej szerokiej, oko próżno szuka, a w tej piersi, tej samotnej, coś trzepoce, coś kołacze, coś żałośnie puka... Oj tak puka, oj tak płoszy, jak ptaszyna, jak pierzchliwa, gdy się zerwie z roli... A te chmury, a te sine, a te ciemne, płyną sobie — płyną w dal powoli..."

Cóż chcecie? Wielkie morze poezyi pożegnało nas niewątpliwie i znikło. Ale pozostały po niem drobne strumyki, jeziorka, źródła — gdzieniegdzie bodaj nawet czy nie kałuże. Wśród powszechnej tegoczesnego świata posuchy, nie trzeba i tem pogardzać, nie trzeba i tego lekceważyć. Któż-bo dziś powie, co się z tego utworzyć może?

W każdym razie znośniejszemi wydają się nam straty, ilekroć słabi uginają się i milkną pod ciężarem zadań, podjętych nad siły rzeczywiste, niżli kiedy silni, obarczywszy siebie nadmiarem klęsk i cierpień urojonych, opadają pod niemi, skwierczące i złorzeczące. Nie mamy nic do zarzucenia pani Arnsztajnowej, że przed zamknięciem swej wyprawy chybionej, powiada załamując ręce: „ja pragnę ciszy,—chcę być jak kropla, co przy biegunie po ciemnem niebie z nawałością sunie i drżąca wpadłszy w lodowate morze, wśród wiecznych lodów snem martwem uśpiona, milcząc północne odzwierciadla zorze..." Ale rzetelnie jesteśmy zdumieni i zaniepokojeni, gdy np. sam Kazimierz Tetmajer, głowa mocna, talent wyrobiony, dosłownie niemal to samo powiada nam w pełni rozwiniętych do lotu skrzydeł: „Odpocząć!.. zasnąć na wieki... znaleźć kędyś ciche łoże, jakichś jezior błękitnych dalekie wybrzeże i błękitnego nieba otwarte sklepienie— *oto jedno, jedyne pragnienie, jakie mam jeszcze*" (str. 143).

Rozumielibyśmy się doskonale i od pierwszego słowa, gdyby to był doraźny okrzyk bólu osobistego, jęk duszy strapionej i doświadczonej jedną z tych dotkliwych przygód życiowych, których nam nieba nie żałują nigdy. Z osnowy wszakże drugiej seryi utworów Tetmajera (Kraków, nakładem autora, 1894) wypada zupełnie co innego. Poetę trapią i ścigają dolegliwości bynajmniej nie powszednie. Męczą go sprawy takie, jak byt, że jest marny, jak niebyt, że jest wieczny, jak wiara, którą stracił, jak niewiara, której nie pozyskał, jak przeszłość, która była ciemną, jak przyszłość, której wcale nie widzimy, lub jak niemoc powszechna, na którą żadne lekarstwo nie skutkuje. Ujęty w żelazne kleszcze nierozwiązalnych takich zagadnień i antypodowych sprzeczności, wieszcz daremnie się wysila na wiersz wspaniały, sięgający niekiedy szczytów doskonałości, rezultat wciąż ten sam: „chcę zasnąć—przesyt pragnień i niesytość czynu męczy mnie i zabija; jestem jak żeglarze wtrąceni do więzienia, gdzie giną ze splinu, marząc o świecie wichrów i fal morskich gwarze" (146). Ciągła ilustracya tematów oderwanych, wszechświatowych— a więc niepochwytnych, sprawia też niebotyczny jakiś zamęt pojęć, w którego rytmicznych przypływach i odpływach doznajemy istotnie czegoś podobnego do choroby morskiej. Wszystko już było—i nie się nigdzie nie ostało—po cóż tedy i dla kogo piszemy? Poezyi, w przedśmiertnym wstępie autor „całe swe życie składa w dani," a mówi do niej: „straciłaś moc—jesteś upiorem minionej twojej królewskości; z bezwładną ręką, z sercem chorem, niczem dziś jesteś dla ludzkości" (3). W „Credo" czytamy: „Jutro?—nie wierzę, aby lepiej było i nie zazdroszczę już tej wiary dzieciom... bo niczem innem nie jest chód ludzkości tylko przemianą zła wieczyście trwałą" (6). W „Dziś" zapewnia: choćby nam dano skrzydła Ikarowe, nie mielibyśmy do

lotu odwagi“ (9). W „Końcu wieku“ nieustające to przerzucanie bierek nicości z ręki do ręki nienaturalnie wykrzywia mu nawet usta—zkądinąd zawsze szczere i czyste: „modlitwa?—lecz niewielu tylko jeszcze mami oko w trójkąt wprawione i na świat patrzące“ (13). W „Prometeuszu“ niezręcznie dobiera końcówki do aforyzmów Hartmanna: „ze wszystkich szczęść najwyższe rzuciłbym ludzkości, niecstwiąc ją i grzebiąc na wieki w nicości“ (16).

Należycie wiemy, że estetyka nie jest zbiorem recept i przepisów z etyki, hygieny lub ekonomiki domowej. Dobrze przytem pamiętamy określenie Libelta: „Piękno jest obliczem ducha.“ Że zaś duch wieje, kędy chce, a oblicze wędruje za nim, kędy musi, przeto nie wolno krępować sztukmistrzów w poszukiwaniach gliny, z której popiersia swych bóstw lepią, ani w wyborze dróg, któremi po nią chodzą. Czy stąpają po dachach kościołów, jak lunatycy, czy się uwijają po posadzce salonów, jak metrowie tańca, czy z popielisk wygrzebują żużle marne, czy kują w minach kruszec złoty — ich to sprawa i dziedzina własna. Zaznaczyć tylko należy, że owa ciemna masa zwątpienia i rozpaczy, której Tetmajer niemal wyłącznie używa do swych płaskorzeźb kosmicznych, nie jest bynajmniej obcą i nieznaną tegoczesnej naszej literaturze. Obrabiali ją w większych lub mniejszych ilościach Asnyk i Konopnicka, Gomulicki i Rossowski, Kościelski i Miron, Kosmiński i Weyssenhoff, Felicyan i Czesław. Pośrednio — przez cmentarników Kondratowicza i lirników Lenartowicza — wiąże się owa aerolitowa poezya z burzami, huczącemi niegdyś nad głowami Krasińskich, Goszczyńskich, Ujejskich... Zachodzi jednak różnica ogromna. Żale, skargi, bóle i rozpacze starych miały charakter najwyraźniej swojski, lokalny, ściśle ujęty w granice czasu i przestrzeni, których nie przekraczały i po za któremi znajdowały przytułek, ukojenie i — w razie potrzeby — radę a pomoc. Dziś, gdy wszystko to razem zasłoniły grube, nieprzeniknione chmury niepewności i złej wróżby — ciekawe doprawdy pytanie, kto na wypadek nieszczęścia poradzi i pomoże takiemu Tetmajerowi, co wdarłszy się na wierzchołki wszechistnienia, pomyka po tych „ściętych zboczach, jak ludzie szaleni,“ choć jego głowa i barki zbolałe dźwigają „smutek większy, niżeli Tatry całe“ (str. 96).

Stokroć już w takim razie bezpieczniej mieć do czynienia z Chochlikiem. Nosił i on niegdyś w sobie czy na sobie ową górę bezbrzeżnych tęsknot, bezgranicznych przesytów, bezdennych zwątpień, z której bezmiernego wnętrza wypływają bezmierne morza zagadek bezcelowych: „więc nic? więc nic, jeno znikomość? i jeno trosk i żądz omylność? i tylko marność i bezsilność? a całem szczęściem nieświadomość?..“ Szybko jednak z brzemieniem się załatwił. Zgarnął całą tę nirwanę do cebra i wylał na głowę swego „Króla Salomona,“ sprawiwszy zaś mu tę łaźnię, pchnął w objęcia zawczasu na niespodziankę przygotowanej Sulamitki. I wszystkim im trojgu wyszło to na dobre, szczególnie autorowi: stał się odtąd lekkim, jak wiosenny wietrzyk, czerstwym jak karpacki strumyk, przezroczystym jak powietrze po nawałnicy. Taką jest rzeczywiście nowa ta serya drobnych utworów Zagórskiego — z wyjątkiem może kilku przekładów i naśladowań. Drobiazgi oryginalne, od żarciku „Bieda biedy, biedą biedzie“ do poważnego treścią i tonem „Psalmu tęsknoty,“ od „Poradnika dla konkurentów“ do fragmentów „Z mądrości życia“ — i brzmią mile i są nieposzlakowane pod względem humoru i urozmaiconej treści. Śmiejcie się, jeżeli chcecie, ale ten oto np. czterowiersz z „Lafryndy“: „Mała duszal — małe serce! — płynie życie nakształt pianki, rozdrobiwszy swą istotę na ploteczki i gałganki,“ — większą do mnie przemawia pustką, niżli wszystkie niezaludnione planety, których nie zwiedziłem dotychczas. Co zaś do poematu-fraszki p. t. „W wagonie,“ jest i w niej również pustka pewna, ale tym razem to już całkiem urocza, swobodna i prosta, niby jedyny ów zakątek ziemi podkarpackiej, gdzie Tetmajer wydobył z siebie nareszcie zdumiewające to wyznanie: „było tak cicho i błogo, jak gdyby *szczęście*, idąc pustą drogą, tu, w to bezludne wstąpiło zacisze...“ Proszę! — więc jest i szczęścia trochę na łonie tej nicości wszechbytów?

J. T. Hodi.

ODCZYTY.

Henryk Kotlubaj: *O mięsie ze stanowiska hygieny.*

Wykład p. Kotlubaja nie powinien skończyć się na katedrze wobec gromadki słuchaczów. Przedmiot ten, nie poetyczny i nie literacki, jest wielce żywotnym zarówno dla poety, jak i najprostszego prozaika, bo dotyczy podstaw zdrowotności organizmu. Prelegent, specyalista w tym zakresie, wybornie scharakteryzował znaczenie mięsa, jako artykułu spożywczego i zarazem—jego niebezpieczeństwo dla zdrowia przy rozwoju spekulacyi i braku odpowiedniego dozoru sanitarnego. Niepodobna nam streszczać tutaj przedstawionego przez autora obrazu produkcyi, opisu rożnych gatunków mięsa i jego części składowych, sposobów zabijania zwierząt (rytualny u żydów). Zaznaczyć tylko muszę przedewszystkiem praktyczną stronę wykładu, posiadającą bardzo dużo pożytecznych szczegółów dla gospodyń, tudzież—hygieniczną, wreszcie wadliwe warunki zaopatrywania spożywców w ten pierwszorzędny artykuł. Sprawa mięsna nieraz już była poruszana w Warszawie i innych miastach, ale dotychczas dobre chęci nie weszły w czyn, a ogół jest narażany na zdzierstwo i utratę zdrowia. P. Kotlubaj odsłonił i oświetlił jedną stronę handlu, którą należałoby jak najspieszniej uregulować. Jakość mięsa, jak wiadomo, w znacznej mierze zależy od części korpusu zwierzęcia. Na naszych targach niektóre tylko są wyjątkowo cenione wysoko; reszta zaś idzie pod jeden strychulec, bez względu na ogromną różnicę gatunków. Tym sposobem za najgorsze części mięsa płacimy prawie tyle, co za najlepsze. Stąd wynika, że mięso najgorsze, spożywane przez najbiedniejsze warstwy ludności, jest zarazem *najdroższem*. Dodawanie kości podnosi jeszcze bardziej koszt i sprawia to, że gatunki przednie stosunkowo są najtańsze. Zjawiska te, u nas codzienne, za granicą oddawna już zdołano usunąć. Nie tylko cierpi kieszeń ubogich; bardziej zagrożone jest ich zdrowie skutkiem spożywania mięsa nieświeżego. W Warszawie rozpowszechniło się tak zwane „kolejowe,“ tj. przywożone z różnych okolic, dalekich i bliskich i cenione o 5 kop. taniej na funcie, w stosunku do towaru, pochodzącego ze zwierząt bitych w rzeźniach miejskich. Kontrola weterynaryjno-policyjna jest bardzo łatwa nad bydłem żywem. O wiele trudniejsze sprawdzenie dobroci produktu przywożonego. Korzystają z tego spekulanci, cierpią nędzarze. Niechaj więc głos p. Kotlubaja będzie bodźcem do zarządzeń pilnych i ważnych, dla gruntownego przekształcenia dzisiejszego systemu handlu pod względem ekonomicznym i zdrowotnym.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— *Figaro* donosi, iż teatr *Les Poets* w Paryżu wystawi wkrótce tragedyę J. Słowackiego, *Balladynę*, w przekładzie Marcyala Temsa.

— W pierwszych dniach czerwca na scenie Teatru letniego wystawiona będzie sztuka Zygmunta Sarneckiego p. t. „Harde dusze,“ przerobiona z powieści Orzeszkowej. „Bene nati.“

— W końcu maja otwarta będzie w salach magistratu wystawa obrazów z dawnego Muzeum sztuk pięknych. Dochód przeznaczono na korzyść warszawskiego Tow. dobroczynności.

— Wice-prezesem teatrów warszawskich po Folandzie zostaje urzędnik do szczególnych poruczeń przy [illegible] Vaqueret (*Warsz. Dniewn.*).

— Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs na dwa stypendya: imienia Zenona Pileckiego w kwocie 1,200 złr. i Śniadeckiego z fundacyi Seweryna Gałęzowskiego w kwocie 5,000 franków. O pierwsze ubiegać się mogą kandydaci, którzy poświęcają się studyom rzeczy polskich w zakresie nauk humanistycznych (historya, prawo, literatura, język) i ukończyli kurs nauk uniwersyteckich ze stopniem doktora lub też w jednym z uniwersytetów rosyjskich ze stopniem naukowym kandydata: zapomoga ma na celu ułatwienie pobytu za granicą, dla dopełnienia studyów w obranym zawodzie naukowym. Pomiędzy kandydatami, zarówno pod każdym względem zasługującymi na otrzymanie stypendyum, pierwszeństwo dane będzie pochodzącemu z Rosyi. Stypendyum imienia Śniadeckiego przeznaczone jest dla pracujących w zakresie nauk matematycznych lub przyrodniczych. Ma ono na widoku: zarówno jak i poprzednie, dalsze kształcenie się za granicą. Kandydat do tego stypendyum winien posiadać wyższy stopień naukowy i być znanym z gorliwej pracy w zawodzie, któremu pragnie się poświęcić. Podania wnosić należy do Akademii Umiejętności w Krakowie po dzień 15 czerwca 1895 r. Oba stypendya płatne są w dwóch ratach półrocznych.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NIEMKA WSPÓŁCZESNA

(z powodu pierwszego zjazdu kobiet niemieckich w Monachium).

Mniej trafnie, aniżeli dowcipnie, powiedziano niegdyś, że niemiec pół życia spędza nad ziemią, a pół pod nią. Niemka przecież jest zawsze na ziemi: praktyczna, skrzętna, baczna na chwilę obecną, jej potrzeby i zadania, czy władą warząchwią, czy piórem, pozostawia wrażenie zabiegliwej i praktycznej gospodyni. Klasyczne wyrażenie, wypowiedziane po raz pierwszy przez św. Pawła, a od tego czasu tylekroć śpiewane na wszystkie tony przez uczonych i polityków niemieckich *Die Frau gehört ins Haus*, traci już zaczyna znaczenie swoje. Kobietę znaleźć dziś można wszędzie, a spostrzeżenia swoje czynię w Berlinie, który przecież jest typowym i najdoskonalszym wyrazicielem życia Niemiec północnych. Kobiety przeważnie zapełniły trybuny podczas rozpraw nad ustawą przewrotową, można je znaleźć na zebraniach wolnej gminy religijnej, wśród stowarzyszeń robotniczych, przy uroczystościach pamiątkowych wolnomyślnej partyi politycznej. Przytaczam tu umyślnie wypadki, w których kobiety spotkałem, jakkolwiek było to dla mnie niespodzianką; bo że licznie uczęszczają na zebrania wyłącznie kobiece, że bardzo czynny udział biorą w ruchu etycznym i filantropijnym, że pojawiają się coraz częściej na wykładach uniwersyteckich, to rzecz naturalna i oczekiwana. Obok tego przecież niemka uspołeczniła się, że tak powiem, i całe zastępy, nie mniej od pań naszych, wykazują dążności ogólno-społecz-

pozostając przecież — na ziemi. Różnica między ruchem kobiecym u nas a w Niemczech jest olbrzymia, pomijając nawet niezależną od interesowanych formę zewnętrzną, różnica polega przedewszystkiem na odrębności charakterów.

Jeżeli polka wogóle mało jest praktyczną, to polka współczesna (nazywam ją tak, nie chcąc użyć zdyskredytowanego wyrazu: emancypowana) jest ideologiem, który w epoce poezyi romantycznej żądał niedościgłych ideałów moralności i uczucia, dziś rwie się do studyów naukowych, niezależnie od tego, o ile odpowiadają temu zamiarowi warunki zewnętrzne i wewnętrzne. Gdy zechce działać, zaczyna od zakresów najogólniejszych i najdalszych, myśli o warstwach najmniej jej znanych, choć najnieszczęśliwszych i najwięcej potrzebujących pomocy.

Czy wiecie, od czego zaczął się ruch emancypacyjny kobiet niemieckich? Oto od szkół gospodarstwa i kucharstwa.

Już w r. 1848 widzimy pismo kobiece, wydawane przez zmarłą niedawno Ludwikę Otto Peters, pod wiele mówiącem hasłem. Ruch ówczesny był przecież ideologicznym i mało liczył zwolenniczek, z owego okresu żyje w tej chwili tylko jedna weteranka, p. Lina Morgenstern.

Właściwie jednak emancypacyjny ruch kobiecy w Niemczech, którego ciąg dalszy widzimy obecnie, rozpoczyna się w r. 1865 z założeniem „Ogólnego związku kobiet niemieckich.“ Celem jego było ożywienie dążności do wyższego wykształcenia, usuwanie przeszkód, które stały na drodze zawodowej pracy kobiecej, oraz otworzenie zakładów przygotowawczych do późniejszej pracy zawodowej. Stowarzyszenie posiadało własny organ: *„Nowe drogi,“* a w rok potem powstaje szereg związków kobiecych, mających na celu otwieranie nowych zawodów dla kobiet — patryotyczne związki kobiece z 200,000 członków, którzy nieśli pomoc rannym i chorym, wreszcie kuchnie ludowe, aby ułatwić niższym klasom zdrowe i dobre odżywianie. Nie była to instytucya filantropijna, ale gospodarcza, w której brały udział kobiety wszystkich stanów, postawiwszy sobie za cel podnieść odżywianie klas pracujących. Do ogólnego skarbca pracy niosły tedy kobiety niemieckie, na co ich stać było: trud, znajomość kuchni i umiejętność pielęgnowania chorych. Niebawem powstawać też zaczęły wyżej już wspomniane szkoły kucharstwa, przyczem uczono i innych gałęzi gospodarstwa domowego, a umiejętność tę starano się rozszerzyć we wszystkich warstwach kobiecych za pomocą nowych szkół w różnych miastach.

Nie można odmówić racyi owym usiłowaniom, które przedewszystkiem pragnęły widzieć w kobiecie umiejętną pracownicę na właściwem jej polu, zamiast gospodyni z tradycyi i bożej łaski.

Nie uważając polskich kucharek-autorek za najwybitniejsze pionierki ruchu emancypacyjnego, przyznać należy, że zbyt mało szacujemy kobiece zajęcia domowe, nie raczą nawet nigdy ocenić przynoszone go przez pracę tego rodzaju dochodu*). O ile wiem, próba oceny wartości pracy domowej kobiet dokonana została po raz pierwszy r. b. w Norwegii przez A. N. Kiaro, dyrektora biura statystycznego w Chrystyanii. Okazało się, że w małej Norwegii wobec ledwie dwumilionowej ludności 455 tysięcy kobiet zajmuje się gospodarstwem domowem, przyczem wytworzoną przez nie wartość oceniono na 132 mil. koron.

*) Mimowolnie odbiegłem tu od przedmiotu, bo przyszły mi na myśl stosunki zarobkowe naszych kobiet, niedawno opisywane w *Prawdzie* i złe zaznaczone także, iż kobiety klas wszelkich rzucają się do zarobkowej pracy, zniżając ceny, a zaniedbując często zajęcia domowe. Wśród niemek, o ile wiem, sprawy te [illegible].

Praca domowa nie może być przeto pomijaną, gdy mowa o gospodarczem znaczeniu kobiety. Wykształcenie w kucharstwie i gospodarstwie niemki połączyły ze szkołami dla sług i przytułkami dla nich.

Użyteczność usunęła na czas jakiś starania o podniesienie umysłowego poziomu kobiet w Niemczech. Prawie najpierwsze wystąpiły tu robotnice, zakładając już w r. 1862 Towarzystwo kształcenia się dla robotnic, od r. 1872 powstaje z tymże celem inne towarzystwo, które istnieje aż dotąd, rozwija się pomyślnie i posiada organ własny.

Nieśmiałe początki wyższego jakoby kształcenia kobiet dało istniejące od r. 1866 *Victoria Liceum*, oraz na tenże sam wzór wytworzone licea w innych miastach. Są to zakłady, które dają sposobność poszkolnego wykształcenia w historyi, językach, naukach przyrodniczych i językach starożytnych. Przy nich od r. 1889 istnieją kursy dodatkowe, przygotowujące do uniwersytetu. Dzisiaj te kursy prywatne stały się mniej potrzebne wobec założonego od półtora roku gimnazyum w Karlsruhe, z programem równym męzkim szkołom klasycznym. Do uniwersytetów wstęp wciąż jest utrudniony, zwłaszcza w Berlinie. Przyjmują kobiety tylko w charakterze wolnych słuchaczek, a więc bez żadnych praw, ale na podstawie poprzednio już odbytych studyów i za każdorazowem pozwoleniem ministra oświaty. Równouprawnione są za to kobiety w t. zw. akademii Humboldta, gdzie się odbywają wykłady wieczorne rozmaitych przedmiotów. Zwykłą drogą dopełniania studyów są tu, jak i wszędzie, odczyty popularne, urządzane przez stowarzyszenia.

Hasła ruchu emancypacyjnego wśród klas zamożniejszych podnosiło od r. 1874 *Pismo dla gospodyń*, które już w tytule swoim zaznaczało, że przeniknąć zamierza i do tych kół, które szerszego ruchu emancypacyjnego nie pragną. Pismo to zajmowało się i zajmuje dotąd wszystkiemi sprawami świata kobiecego: hygieną, pedagogią, poniekąd polityką, ruchem kobiecym za granicą, wszechstronnem przecież nie jest, pomija bowiem mody. W ostatnich latach przybył mu współzawodnik, wydawany przez młodsze siły, *Ruch kobiecy*, którego redaktorką jest wdowa po zmarłym niedawno profesorze filozofii i sztuki, Grzegorzu Giżyckim.

Niema zasadniczych różnic między tymi dwoma głównymi organami ruchu kobiecego. Pierwszy jest więcej oportunistyczny, bardziej oddany idealnym interesom świata kobiecego, może dlatego, że redaktorka jego, Lina Morgenstern, bardzo już niemłoda, nauczyła się praktyczności w ciągu długiego życia. Postać to oryginalna: mała, siwa, czerstwa, bardzo żywa i rezolutna, zawsze przy fartuszku, oddana pracy w domu i po za domem. Wstaje o 4-ej rano pomimo 65 lat, które już dźwiga, sama redaguje pismo, stoi na czele trzech stowarzyszeń, rozwija szeroką działalność filantropijną, wydaje książki o ruchu kobiecym jeden tom za drugim, a obok tego wychowała pięcioro dzieci, jest najlepszą gospodynią i żoną. Wszystkie te zajęcia nie przeszkadzają jej interesować się żywo każdym przejawem ogólnego ruchu, każdą osobistością, przynoszącą jakąś cegiełkę do budowy, której poświęciła życie. Żadnej śmieszności, pozowania, wyniosłości, a przytem żadnego sentymentalizmu, ani czułostkowości, szczęśliwie zrównoważona natura, której życie upływa też bardzo użytecznie.

Pismo *Ruch kobiecy* stoi na wyższym poziomie od poprzedniego organu, a przytem i artystyczne wymagania formą swoją zadowolić może. Redaktorka jego, najwybitniejsza może postać kobieca niemiecka z młodszego pokolenia, stara się złączyć ruch kobiecy z etycznym, którego organ również redaguje.

Ilość stowarzyszeń niemieckich kobiecych, jest dziś już imponującą; wyróżnićby w nich można stowarzyszenia z celem filantropijnym, pedagogiczne i zajmujące się tylko lub przeważnie sprawą kobiecą, a więc poświęcone rozszerzeniu praw i zakresów pracy dla kobiet.

Po za stowarzyszeniami robotnic, które mają wyraźną barwę polityczną, ruch kobiecy od polityki stroni, wiedząc, że pociągnęłaby ona za sobą rozbicie na stronnictwa, zagrażając jedności i sile. Przeciwnie, przedstawicielki jego dążą do wytworzenia zwartej armii, która postępując zbitą masą, łatwiej mogłaby zrobić wyłom w panujących dziś poglądach na sprawę kobiecą.

Owo dążenie do jednolitości zaznaczyło się przez wytworzenie związku stowarzyszeń kobiecych niemieckich, który powstał przed pół rokiem, a parę tygodni temu urządził pierwszy zjazd ogólny kobiecy w Monachium

Pomysł związku podała amerykanka, p. Simson, na wzór ogólno-kobiecego w Stanach Zjednoczonych, do którego należy 700,000 członków.

Do związku niemieckiego przystąpiło dotąd 60 stowarzyszeń, obejmujących 35,000 członków, zarówno z Niemiec północnych i południowych.

Zaznaczyć tu należy, że te ostatnie pod względem ruchu kobiecego o wiele za północnemi pozostały w tyle, co ujawniło się zwłaszcza przy obradach wspólnych w Monachium. Południe nie chciało i nie odważyło się zaczepić spraw, zajmujących np. kobiety berlińskie, do których, jak do kwestyi prostytucyi, zbierały liczne dane i przedstawiły obszerne referaty.

Pomimo swej mniejszej liczebności—kongres odbył się bowiem w Monachium—delegatki z północy, a zwłaszcza ze stolicy, nadały barwę obradom, wprowadzając do nich kwestye, zajmujące dziś wybitne miejsce w ruchu kobiecym niemieckim.

Występuje tu: 1) Zagadnienie kobiet—inspektorów fabrycznych, których brak coraz bardziej odczuwać się daje wobec rozpowszechnionej pracy niewieściej w fabrykach. 2) Prostytucya, do której usunięcia dążą kobiety niemieckie już od lat kilku i to nie przez okrzyki oburzenia, lecz przez sumienne badanie kwestyi. Ze strony rządu mają już obietnicę poparcia, z pośród siebie zaś obierają urzędniczki, które, w chwili gdy otrzymają odpowiednie upoważnienie, mogłyby objąć opiekę nad upadłemi dziewczętemi. 3) Wreszcie prawna strona kwestyi, a więc prawodawstwo, dotyczące kobiet. Związek stworzył komisyę, która zajmuje się prawami kobiet w przyszłym kodeksie cywilnym. Nie zapomniano również o prawach dzieci nieślubnych. 4) Niemało uwagi poświęcają też kobiety sprawie ruchu przeciwko nadużyciu, a nawet używaniu napojów alkoholowych, który coraz szersze przybiera w Niemczech rozmiary. Ta ostatnia sprawa przecież zejść musiała z porządku dziennego w Monachium, gdzie targi o przeprowadzenie zbyt radykalnych dla zarządu tematów wiele zabrały czasu.

Dotąd jeszcze polityka nie wchodzi w program, ale sprawa głosowania do ciał miejscowych, będzie jak się zdaje najpierwszym punktem na przyszłym zjeździe.

Zresztą, jak zaznaczyłem wyżej, niemka nie tracąc z oczu najbliższych swoich interesów, ani partyjnych, ani rodzinnych, zajmuje się przecież wszystkiem, a sprzyja zwykle (mówię tu o niemce, oddanej kwestyi kobiecej) kierunkom radykalnym. Wszystko jest u kobiety niemieckiej nietylko sprawą uczucia, ale zastanowienia. Należy ona do zrównoważonego społeczeństwa i to na niej znać. W ruchu kobiecym prawie nie ma bardzo młodych dziewcząt, przeważnie osoby dojrzałe, nie-

kiedy starsze i siwizną pokryte, głównie mężatki.

S. Z. Dański.



KAROL VOGT.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Zmarły K. Vogt należał do charakterystyczniejszych i głośniejszych postaci z epoki przełomu umysłowego, który nastał w życiu Europy w trzeciej ćwierci obecnego stulecia, do przedniej drużyny walczącego transformizmu i w swojej gorączce nie ostygł nawet na schyłku życia, kiedy starość na jego karku złożyła ciężar kilku dziesiątków lat. Odrywał się od prac specyalnych, ażeby zabierać głos publicystyczny w łamach dzienników w różnych sprawach codziennych. Do końca życia pozostał dzieckiem owego *Sturm* i *Drang Period*'u, w którego zgiełku dojrzał duchowo. To też polityka niejednokrotnie przerywała jego studya naukowe. Podczas wypadków roku 1848 porzuca katedrę uniwersytecką w Giessen, ażeby ubiegać się o mandat poselski do zgromadzenia narodowego. W parlamencie frankfurckim znajdujemy go na demokratycznej lewicy, należy do opozycyi, która przenosi obrady zgromadzenia narodowego do Stottgartu, kiedy skutkiem wdania się Prus w Frankfurcie były uniemożliwiane. Zmuszony opuścić ojczyznę, przyjmuje poddaństwo szwajcarskie i niebawem zajmuje katedrę w Genewie. Ale tam równie nie wyrzekł się życia publicznego: parę razy piastował godność członka genewskiej rady kantonalnej i narodowej związkowej. Jako wpływowy wyznawca zasad demokratyzmu drobnomieszczańskiego, jeszcze za czasów parlamentu frankfurckiego uwikłał się w zatarg z przedstawicielami krańcowych prądów społecznych. Taki Wolff i inni uważali go wprost za frazeologa. Antagonizm ten wciąż wzrastał i wreszcie wybuchnął z gwałtownością, kiedy Vogt w Genewie zaczął bronić zdecentralizowania Szwajcaryi i poniekąd popierać polityczne zamiary Napoleona III. Z owej epoki pochodzi namiętny, kilkunastoarkuszowy pamflet K. Marksa, zatytułowany *Herr Vogt*, w którym autor nie waha się nawet zakwestyonować uczciwości politycznej profesora genewskiego.

K. R. Żywicki.

PAMIĘTNIK.

Wyścigi.

Bilet na wyścigi kosztuje mniej więcej tyle, co do teatru lub na koncert a, rozumie się, znacznie drożej, niż na odczyt lub wystawę obrazów. Jeżeli więc pole Mokotowskie gromadzi jednego dnia 5,000 osób, podczas gdy najciekawsze przedstawienie zbierze ich zaledwie kilkaset, to wyraźny dowód, że w tej różnicy objawia się nie odmienność kosztów, ale upodobań. Ścigające się konie należą u nas rzeczywiście do najpomyślniejszych widowisk, a żaden Mozart lub Shakespeare, żaden Gounod lub Ibsen nie pokona w uroku Termidora lub Fine-Mouche. Zjawiska, których usunąć nie można, trzeba przynajmniej badać. Przedewszystkiem zaś zaznaczyć wypada, że tak dzieje się wszędzie. Wyścigom we Francyi lub Anglii przypatrują się setki tysięcy ludzi, których żadna inna rozrywka nie skupi w równej liczbie. A do jakiego stopnia rozpalają się przytem namiętności, wiedzą tylko ci, którzy je oglądali własnemi oczami. Ten sam—jeśli nie większy — zapał budzi walka byków w Hiszpanii. Wogóle więc ludzkość tegoczesna w swych masach zachowała jeszcze tyle instynktów dawniejszych, że lubuje się ciągle w zapasach zwierząt. Gdybyśmy 20 filozofów lub poetów wyprowadzili na pole Mokotowskie dla rozpraw i popisów, nie ciągnęliby oni setki ciekawych; tymczasem 20 koni elektryzuje tysiące ludzi najrozmaitszego stopnia zamożności i wykształcenia. Bo w nowożytnym europejczyku tkwi duży kawał zwierzęcia, albo raczej barbarzyńcy, który kiedyś z zamiłowaniem polował, przypatrywał się walkom gladyatorów, lwów, kogutów, przepiórek itd., dziś już tylko nazywa myśliwstwo „szlachetną rozrywką," roznamiętnia się do gonitw końskich i uważa toreadorów za bohaterów narodowych. Tak jest na najwyższych szczytach kultury, tak musi być i u nas.

Nasza cegła.

W porze budowlanej warto rozpamiętywać kwestyę, które mają z nią ścisły związek. Jeżeli dokładnym jest rachunek p. W. Trzcińskiego (w Towarzystwie p. r. p. i h.), a więc jeżeli podmiejskie fabryki istotnie dostarczają Warszawie 100 milionów cegieł rocznie, z których tylko 80 milionów (tylko!) wcale nie nadaje się do tego użytku, to niech nasza ziemia nie śmie ani drgnąć pod nowymi domami. Na 100 cegieł 80 złych — straszny stosunek! Panowie spekulanci biorą nas na szczególny kawał. Ponieważ zaczęliśmy domagać się rozmaitych wygód i poszukujemy teraz mieszkań, gdzie są ulepszenia kanalizacyjne i wodociągowe, więc oni nam urządzają: wanny, gabinety, wentyle itd., ale za to z podłej cegły. Rozumują oni bardzo logicznie: przecież żaden lokator ani groboś́ci, ani trwałości muru próbować nie będzie i poprzestanie na obejrzeniu wyglądu zewnętrznego i rozkładu wewnętrznego pomieszczeń, po co więc kupować dobrą cegłę, która stanowi główny wydatek? Tym sposobem powstają całe szeregi okazałych lepianek z surówki, z materyału licho wypalonego, który trzyma się dopóty, dopóki koło ściany i fundamentów nie wykopią głębszego dołu. Wtedy zaraz ściany zaczynają się rysować, policya usuwa lokatorów przed niebezpieczeństwem, a komisya ogradza niedoszłe grobowisko ludzkie. Tak właśnie się stało znowu przed kilku dniami. Pouczeni temi ostrzeżeniami, wołajmy ciągle: kontroli dla cegieł i dla budowy murów!

Zabezpieczanie życia.

Rozmaite wymyślano i zalecano sposoby, mające zapobiedz spadaniu służących podczas mycia okien. Mimo wszakże zakazu policyi, pasów i linek ochronnych, co pewien czas zdarzają się smutne wypadki—jak świeżo przy ulicy Marszałkowskiej. Bezwzględnie je uniemożliwić — jest niepodobieństwem, gdyż znaczyłoby to usunąć z natury ludzkiej nieopatrzność, lekkomyślność i inne przyczyny tego rodzaju nieszczęść. Sądzimy jednak, że możnaby jeszcze znacznie zmniejszyć ich ilość, gdyby do środków zabezpieczających dodano również dbałość o życie sług ze strony państwa. Policyant nie zawsze dojrzy służącą, zawieszoną wysoko przy myciu okna, ale pan lub pani domu widzi ją zawsze. Czemu na to pozwala? Czemu w każdej rodzinie ta czynność nie odbywa się stale tak, ażeby wyłączała ryzyko życia? Przecież to tak niewiele potrzeba, ażeby Marysi lub Kasi zabronić tego, czego ona zrobić nie może bezpiecznie, nie posiadając skrzydeł. Powtarzamy: zabronić, gdyż zwykłe tłomaczenie: „czy jej kto kazał?" — nie usprawiedliwia mających więcej rozumu i obowiązanych do rozciągnięcia opieki nad nieroztropnemi dziewczynami. Nie dość z ich pracy korzystać, nie dość ich karmić słowem ustnem i drukowanem, nie dość wyrzekać na złe i jako wyjątki przedstawiać dobre; należy również dbać, ażeby one w służbie nie traciły życia.

Obce nazwiska.

Jeden z prenumeratorów naszych wypowiada w liście następującą skargę: Chcąc czytać polskie książki i pisma peryodyczne, nie dosyć być człowiekiem zwyczajnie wykształconym, trzeba jeszcze skończyć uniwersytet i to koniecznie wydział filologiczny. Bez znajomości bowiem języków: greckiego, łacińskiego, francuskiego, niemieckiego, angielskiego, hiszpańskiego niepodobna poprawnie odtworzyć brzmienia imion własnych, które u nas są drukowane według pisowni oryginalnej. Kto nie posiada takiej wiedzy, nie domyśli się, że w wyrazie: Caprivi *c* ma dźwięk *k*, że w wyrazie: Faure *au* równa się *o*, że Chopin wymawia się Szopen itd. Korespondent uważa ten zwyczaj za bezzasadny i dla wielu dokuczliwy, a sądzi, że podtrzymuje go z jednej strony trudność ścisłego oddania dźwięków obcych naszemi głoskami z drugiej jakaś uprzejmość względem cudzoziemców. Nie podzielamy ani tego żądania, ani tego wniosku. Prawie wszystkie narody piszą imiona własne obce według ich ortografii rodzimej dla uniknięcia pomyłek i nieporozumień. Bo przypuśćmy, że czytelnik polski znajduje w artykule nazwisko *Czerczyl* i że o człowieku tym zechce się czegoś dowiedzieć z encyklopedyi. Skądże odgadnie, że ma szukać pod wyrazem *Churchill*? W tem samem położeniu znajdzie się wobec: *Fencz* (Fenshave), *Szatelet* (Chatelet) itd. Często nawet znając jakiś język, niepodobna odtworzyć sobie właściwej pisowni pewnego wyrazu. Z dwojga złego zaś mniejszem jest chyba błędne wymówienie nazwiska, niż nieznajomość jego ortograficznego wyglądu. Zresztą brzmienie imion własnych sławnych tak szybko się upowszechnia, że tylko wyjątkowo może kogoś ominąć. Nikt z ludzi średnio ukształconych nie czyta literalnie: Shakespeare, Goethe, Byron, Schiller, Shelley itd. Gdyby proponowaną przez korespondenta zasadę przyjęły inne narody, wyobraźmy sobie, jakby wyglądali w pisowni angielskiej lub francuskiej: Goszczyński lub Rzewuski. Ani byśmy się poznali!.. Nie przeczymy, że przy wprowadzeniu obcych nazwisk nieznanych byłoby pożądanem umieszczać w nawiasach ich wymawianie, ale żeby używać tylko przerobek—nie wydaje się to nam ani właściwem, ani pożytecznem.

Pomoc wzajemna.

Tyle się u nas namnożyło projektów zabezpieczania bytu pracowników z rożnych dziedzin pracy i tyle już poszło w zapomnienie, że wszelką „nową myśl" tego rodzaju przyjmujemy z niedowierzaniem lub lekceważeniem, jako projektomanię, nie muskającą życia nawet po wierzchu. Tym razem wszakże z wielu zasługuje na zaznaczenie wniosek p. Jakóba Rotmana, złożony do rozpatrzenia warszawskiemu Towarzystwu pracowników handlowych i przemysłowych. Rdzeniem tego projektu jest składanie 5% płacy miesięcznej przez wszystkich stowarzyszonych, zajmujących posady, na rzecz kolegów, pozbawionych zajęcia, aż do chwili znalezienia nowego. Wobec tego, że posady pracowników na niwie handlowej w sklepach, kantorach i innych przedsiębiorstwach są bardzo niepewne, że najzdolniejsi i najuczciwsi mogą być przygotowani na to, iż po paru miesiącach będą usunięci przy lada pozorze, myśl powyższa ma doniosłe znaczenie i zasługuje na uznanie tudzież poparcie. Przytem projektodawca wyklucza wszelkie źródła postronne, łaskę pańską, jeżdżącą na pstrym koniu, a więc jakiekolwiek ofiary lub składki stałe pracobiorców (nazywanych u nas powszechnie „pracodawcami" albo „chlebodawcami").

Kasa farmaceutów

Działalność, ogarniająca u nas wszelkie potrzeby aptekarstwa, jest albo jałowa, albo też nie ma nic wspólnego z istotnemi potrzebami życia, w najlepszym razie uwzględnia jednostronne interesy małej garstki możnych przedsiębiorców. Istnieje w Warszawie jedna taka instytucya, Towarzystwo farmaceutyczne, robiące wrażenie inwalidy z kulą, niezdatną do użytku. Tą kulą jest istniejąca przy niem „Kasa wsparcia podupadłych farmaceutów oraz wdów i sierot po nich pozostałych.“ Komitet jej musi co rok uszczuplać zapomogi, ze względu, iż ogół farmaceutów prawie nie interesuje się nią wcale. Oto wymowne dane: z gub. warszawskiej wpłynęło do owej kasy rs. 528, z piotrkowskiej 258, lubelskiej 44, kieleckiej 34, radomskiej 23, suwalskiej 17, łomżyńskiej 13, siedleckiej 8, kaliskiej 5 płockiej—0! *Wiadomości farmaceutyczne* podały te cyfry dla zwrócenia uwagi panów asesorów, „którzy mocą swego stanowiska i urzędu okazywać winni większy współudział i przyczyniać się do rozwoju kasy.“ Godne jest zaznaczenia, iż ci mają pierwszeństwo w korzystaniu z pomocy z instytucyi, którzy byli jej członkami i stale ją zasilali. Fakty te można chyba wyjaśnić psychologicznie: przedsiębiorcy aptekarscy prawdopodobnie wierzą w swoje stałe powodzenie, więc nie chcą „niepotrzebnie“ wyrzucać grosza na kasę, do której może nie będą zmuszeni uciekać się. W chwili zaś, gdy grunt z pod nóg się usunie, jest już za późno myśleć o składkach, więc i pomocy oczekiwać nie można. Bądź co bądź, jest to rys znamienny ich charakteru, upoważniający do upatrywania w nim przyczyn przysłowiowo uciążliwych warunków bytu pracowników aptekarskich— nie właścicieli i — braku wszelkiego poczucia solidarności na gruncie społeczno-ekonomicznym.

Wędrówki rzemieślników.

Niegdyś, jak głosi historya dawnych cechów, istniał w całej Europie zwyczaj wysyłania czeladników na wędrówki od miasta do miasta, dla obeznania się rzetelnego z daną gałęzią rzemiosła w tych ogniskach, gdzie ono najbardziej było rozwinięte i udoskonalone. Zwyczaj ten, wielce chwalebny i pożyteczny, wraca dziś do nas. Niedawno kasa przemysłowców warszawskich z powodu dwudziestopięciolecia swego istnienia, przeznaczyła 1,000 rs. corocznej zapomogi dla podziału pomiędzy dziesięciu czeladników, pragnących udać się za granicę dla rozszerzenia swej wiedzy i udoskonalenia fachowego. Na rok bieżący jest już odpowiednia suma do rozporządzenia i nie brak podobno ochotników do wycieczek. Chodzi tylko o to, ażeby one były pożyteczne. Czy jednak 100 rs. na osobę będzie wystarczające? Czy przy takim zasiłku czeladnik potrafi dotrzeć do wszystkich źródeł i ognisk rzemiosła wzorowego, gdzieby mógł zdobyć należytą praktykę? Jeżeli ma dziesięciu przejść się, czy przejechać po ościennych prowincyach państw pogranicznych i nic przywieźć nic, oprócz blagi, to czy nie lepiej byłoby zmniejszyć liczbę uczniów wędrownych do połowy, a podwoić dla nich zapomogi? Trudno przypuścić, ażeby nasi inicyatorowie chcieli odtworzyć z najwierniejszą dokładnością takie wędrówki, jakie istniały w wiekach średnich. Prawda, że w Prusach istnieją podobne wycieczki piesze uczniów rzemieślniczych; wędrują oni z małymi środkami, a gdy i tych zabraknie, „gospody“ po drodze dają im nocleg, pożywienie i drobne pożyczki. Ale cudzoziemiec nie może być tam faworyzowany w ten sposób, ze względu, że przychodzi jako groźny współzawodnik, tem niebezpieczniejszy, że skory jest do ofiarowania swej pracy tanio. Otóż pożądane byłoby wbrew zamierzchłej tradycyi, przystosowanie takich wędrówek zupełnie do potrzeb i wymagań naszego stulecia. Śmiesznem byłoby włóczenie się po obcych, podrzędnych kątach pieszo, wyszukiwanie jakichś dzikich, malutkich wysepek rzemieślniczych na oceanie ogólnej produkcyi, podczas gdy istnieją szybkie i tanie środki komunikacyjne i wielkie ogniska wytwórczości, w których można z pożytkiem czerpać wzory i nabierać doświadczenia. Wreszcie puszczanie czeladników na oślep będzie również zmarnowaniem pieniędzy i czasu. Wszakże mamy Muzeum rzemieślnicze, którego celem jest zapoznawanie rękodzielników tutejszych z najpiękniejszymi wzorami obcych wyrobów, kształcenie w smaku itd. A więc ta sama instytucya mogłaby ofiarować swoje pośrednictwo, tj. ochotnikom do wędrówek wskazywać te zagraniczne ogniska wytwórczości, w których można istotnie skorzystać. Powinna ona również porozumiewać się z wzorowymi zakładami tego rodzaju i tym sposobem ułatwiać korzystanie z praktyki. Byłoby to o wiele łatwiejsze do wykonania, niż proponowane przez *Gazetę polską* zakładanie w tym celu agentur w wielkich miastach zagranicznych.

Projekt.

Odbieramy list następujący:

„W jednym z numerów *Prawdy* pomieszczono wiadomość, że we Lwowie zawiązuje się krajowa spółka melioracyjna dla przeprowadzania drenowań, eksploatowania torfowisk, osuszania miejsc bagnistych itd. Takie stowarzyszenie i nam by się przydało Wiadomo, że kraj nasz obfituje w znaczne obszary łąk, które jednak dlatego, że są w zupełnem zaniedbaniu, bardzo mały pożytek w gospodarstwie przynoszą. Są to zwykle trzęsawiska i mokradła, na których rośnie kosmatka i rzerzucha, najniższy gatunek paszy, czyli t. zw. „końskie siano,“ dla bydła wcale niezdatne. W obecnych warunkach bytu gospodarczego, hodowla bydła, podjęta na szeroką skalę, jest najlepiej przystosowanym i nieledwie jedynym środkiem do wydźwignięcia ziemian z ciężkiego położenia. Rozumieją oni tę konieczność, ale jej urzeczywistnić nie mogą, dla braku gotówki na wkłady do osuszania i podniesienia wydajności łąk. W żadnem może społeczeństwie nie ma tyle kapitałów próżnujących, tylu inżenierów — i wogóle ludzi technicznie uzdolnionych — nieczynnych, co u nas. To tedy bogactwo, te siły narodu, owe zasoby umysłowe i moralne unieruchomione, w jałowym depozycie próchniejące, czyby nie mogły wejść z sobą w spółkę i stworzyć „Towarzystwa do uprawy łąk,“ w warunkach wypłaty procentów z amortyzacyą, uiszczanych przez właścicieli folwarków? Takie towarzystwo, zaopatrzone w kapitały i w ludzi fachowo uzdolnionych, odbierające wkłady za wykonane melioracye w ratach przez dłuższe lata płaconych, przyniosłyby gospodarstwu społecznemu olbrzymie pożytki. Chwila ekonomiczna kraju do przyjęcia tych działań jest w pełni: brakuje tylko zrozumienia ogólnych a nawet osobistych korzyści. Niektórzy ziemianie zaczynają się już ruszać. I tak jeden z nich w powiecie radomskim za sam plan melioracyi zapłacił kilkaset rubli; drugi chodzi na łąki po deszczu, śledzi kierunek spadku, szuka dołków, w których się woda króciej czy dłużej zatrzymuje, inny kopie rowy, orze i kładzie nawóz na łąki; czy jednak te usiłowania wobec braku specyalnych wiadomości nawet przy zaciąganiu projektowanych bankowych ale krótkoterminowych pożyczek — nie będą straconym trudem? Bądź co bądź, chwila naszych stosunków i życia ekonomicznego jest ważną.

Drugą, choć mniej wpływową przeszkodą w hodowaniu bydła na wielu folwarkach jest brak obszernej i dobrze urządzonej obory. I tutaj spółka budownicza, stawiająca obory lub wreszcie budynki, jakich kto potrzebuje, na prawach częściowej i długoterminowej wypłaty, szczególnie w miejscowościach pozbawionych materyałów budowlanych — zwalczyłaby niepokonane trudności. Niechże nam tedy wolno będzie w imię ogólnego dobra i osobistych korzyści, owe siły, drzemiące w łonie narodu, powołać do ruchu i czynu.“ *Prenumeratorka.*

W DALI.

Lublin. Poruszono sprawę budowy wodociągów w Lublinie. Należy się to dawno miastu zupełnie zaniedbanemu pod względem zdrowotnym. Niedawno rozbiór wody w 18-tu studniach wykazał, iż większość wymaga wprost zasypania. — Pod Chełmem ziemianie i przemysłowcy zakładają towarzystwo udziałowe z kapitałem rs. 300,000, dla urządzenia fabryki cementu.

Łódź. Po kilkomiesięcznym zastoju ruch w dziedzinie przemysłowej znacznie się ożywił, tak dalece, iż fabrykanci miejscowi nazywają sezon obecny „wyjątkowo świetnym.“ — Rolnicy okoliczni skarżą się na gorączkowe wychodźtwo robotników wiejskich do miast fabrycznych i różnych okolic Niemiec. Od kilku tygodni tłumy ludności płci obojej zapełniają stacye kolejowe, głównie dążą do Saksonii, Westfalii, Hanoweru, Brunswiku. Szczegół godzien uwagi, iż wędrują po zarobki przeważnie silni i zdrowi, a więc ludność najprodukcyjniejsza. — W Piotrkowie powstaje Towarzystwo cyklistów.

Mińsk. Kasa zaliczkowo-wkładowa w Nowogrodku (gub. mińska) zaznacza w swem sprawozdaniu bardzo pomyślny rozwój. Ogólny obrót w roku ubiegłym wynosił 200,000 rs. Nierzetelnych dłużników wcale nie było. Instytucya ta jest kierowana przez ziemian: na czele jej w zarządzie stoją pp.: Roman Narkiewicz-Jodko, Jan Wierzbowski i Ryszard Kiersnowski. Radę nadzorczą składają pp.: A. Brzozowski, J. Karpowicz, hr. O'Rourke, Czeczot, Nowicki i Fitinghof. — Wkrótce miejscowe Towarzystwo rolnicze będzie roztrząsać wniosek p. Tatiszczewa, założenia własnej instytucyi kredytowej rolnej, któraby zapobiegłaby wyzyskiwaniu ziemian przez banki akcyjne. — P. Jakób Narkiewicz Jodko właściciel ziemski z pow. nowogrodzkiego, stworzył w swych dobrach—Nadniemnie, zakład kumysowy, zrazu tylko na 20 osób. — Rolnicy w całej gubernii smucą się z powodu niepomyślnych warunków atmosferycznych. Susza szkodliwie oddziałała na zboże i trawy. Skutkiem tego ceny żyta podniosły się; za pud płacą po 60 kop. i więcej. W wielu miejscach brak paszy daje się odczuwać, więc i siano również podrożało. — P. Jan Abłamowicz, ziemianin gub. mińskiej — jak donosi *Słowo*—sprzedał z wolnej ręki znaczną część majątku Miratycze w pow. nowogrodzkim, wraz z jeziorem Switeź. Resztę dóbr podobno także rozparceluje pomiędzy włościan z gub. moskiewskiej.

Kowno. Suche cyfry, które częstokroć odstręczają i przerażają czytelnika, są niekiedy bardzo wymowne i dużo dają do myślenia. Nie należy więc ich nigdy lekceważyć, skoro chodzi o scharakteryzowanie warunków społecznych lub ekonomicznych danej okolicy. W tej chwili mamy pod ręką kilka cyfr, przedstawiających siłę lekarską i środki zdrowotne w gub. kowieńskiej. Posiada ona ogółem 208 lekarzów (w tej liczbie dwie kobiety) 349 felczerów i 71 akuszczek. Pierwsi skupieni są głównie w miastach, ze szkodą wsi, która dużo cierpi z braku pomocy lekarskiej. Aptek cała gubernia posiada 108, szpitalów miejskich 7 (na 238 łóżek) i wiejskich 10 (po 10 łóżek), lecznice tylko 2 (po 2 łóżka), szpitalów żydowskich 5, prywatnych 2. Wszystkie te cyfry są dość skromne w stosunku do przestrzeni i liczby ludności (35,700 wiorst kwadr., przeszło 1,131,000 ludu). To też w roku przeszłym wogóle na choroby zakaźne w całej gubernii chorowało osób 16,000. — Stowarzyszenie rolników kowieńskich stale się rozwija. W Kiejdanach (kilka mil od Kowna) posiada własny sklep, którego obroty roczne wynoszą przeszło 100,000 rs. Ziemianie wszystko tam znaleźć mogą po cenach przystępnych: maszyny i narzędzia najprostsze, nawozy sztuczne, nasiona i t. d.

Kijów. Nie obojętną jest dla ludności rolniczej poruszona przez ministeryum spraw we-

wnętrznych myśl zniesienia szachownic gruntowych w majątkach gubernii południowo-zachodnich. Przyszła reforma dotyczy: znajdujących się pośród lasów dworskich ogrodów owocowych i łąk włościańskich, tudzież gruntów czynszowników wieczystych. Co do ogrodów owocowych, ma być przywrócona moc obowiązująca przepisów Najwyżej zatwierdzonych dn. 4 kwietnia 1865 r. W sprawie zaś łąk leśnych wydany będzie przepis, upoważniający nietylko do ich rozgraniczenia, ale i zupełnej wymiany na inne grunty, nawet z gorszym gatunkiem ziemi, byleby tylko odpowiednie obszary wynagradzały tę gorszą jakość. Ze względu na czynszowników, właściciele ziemscy będą mieli prawo wymagać przymusowego przenoszenia zagród i rozgraniczania gruntów. Z pierwszem żądaniem wolno występować w wypadkach, gdy budynki czynszownika stoją bliżej niż 50 sążni, a stodoły i inne łatwo palne zabudowania, bliżej niż o 100 sążni od tych dworskich, które stanęły najpóźniej na rok przed datą ogłoszenia przepisów z d. 9 czerwca 1886 r. i o ile po za obrębem wsi, pośród budowli dworskich, znajduje się oddzielna zagroda czynszowa, do której nie dołączono ziemi ornej lub jeżeli ta na zasadzie rozgraniczenia ma przejść w ręce właściciela. Przymusowe żądanie ze strony dworu rozgraniczenia działów jest możliwe, o ile pośród lasów dworskich znajdują się grunty orne, porosłe trawą polanki i ogrody owocowe, należące do czynszowników lub o ile ci ostatni w lasach mają prawo do sianokosów między drzewami; wreszcie w wypadkach, gdy zajęte obecnie przez czynszowników działki, wyrządzają wyraźną szkodę gospodarstwu właściciela. Informacye te streszczamy podług *Ruskich Wied.*

Petersburg. Wytwórcy i przemysłowcy naftowi państwa rosyjskiego podpisali umowę, na której podstawie t. zw. pierwsza i druga grupa, tudzież partya międzynarodowa, zlewają się w jeden ogólny związek. Tak więc przyszedł do skutku ten wielki syndykat, o który od lat kilku kołatali producenci. Ma on niby na celu zabezpieczenie prawidłowego wywozu towaru na rynki zachodnie i wschodnie. Jak się to odbije na interesach spożywców krajowych, niedaleka przyszłość pokaże.—Sprawa budowy kolei północnych nie schodzi z porządku dziennego i budzi coraz większe zajęcie. W tych dniach odbędzie się posiedzenie komitetu drogi Syberyjskiej, na którem ostateczna zapadnie uchwała co do budowy kolei Perm-Kotłas. Nadto komisya miejscowej rady miejskiej do sprawy kolei Północnych postanowiła czynić starania, ażeby w pracach komisyi rządowej wolno było uczestniczyć delegatom owej rady. Prezydent miasta Czerepowca donosi, że do ziemstwa czerepowskiego nadchodzi mnóstwo deklaracyi z wyrażeniem gotowości bezpłatnego oddania gruntu dla kolei Petersbursko-Permskiej. — Na konkursie, ogłoszonym przez Towarzystwo budowniczych w Petersburgu, za projekt pomnika dla prof. Jefimowa, pierwszą nagrodę otrzymali architekci, pp. Stefan Gałęzowski i Jan Żółtowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRACOWNICY MŁYNARSCY.

Prawie jednocześnie *Wiek* i *Gazeta rzemieślnicza* poruszyły bardzo ważną sprawę, roztrząsaną także przed pół rokiem przez właścicieli młynów w Królestwie Polskiem, ale tylko... wargami, z których ona dała się zmyć bezpowrotnie po pierwszem ich umaczaniu w kieliszku przed smaczną kolacyą. Jeżeli czytelnicy pamiętają, w grudniu nasi wybitni i „ruchliwi" przedstawiciele młynarstwa krajowego zebrali się w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa na Krakowskiem Przedmieściu, ażeby tam się naradzić nad sposobami przedstawienia swych potrzeb na wszechpaństwowym zjeździe wytwórców z tej niwy. Rozprawiano tam bardzo szeroko i pięknie o potrzebach wzmocnienia produkcyi i handlu, o udoskonaleniach technicznych itd. Pojechali nawet niektórzy do Petersburga i milczeli w sprawach powszechnego dobra z dziedziny ekonomicznej, ale za to ktoś z nich podobno energicznie działał po cichu w interesie własnym na niekorzyść ogółu. Pomińmy wszakże tymczasem owe nawiasy i cienie kulisowe a zwróćmy uwagę na jeden wielce ważny szczegół, który także zajmował niepoślednie miejsce w programie obrad: wykształcenie pracowników zawodu młynarskiego. „Potrzebna nam szkoła niezbędnie i pilnie!—wołano na Krakowskiem Przedmieściu. Musimy o to silnie kołatać!" Zapomnieli tylko najbogatsi zakołatać do własnego trzosa, dość napęczniałego, pomimo ciężkich czasów. Wobec tak „drażliwej materyi" szkoła poszła w zapomnienie i to w chwili, gdy o wiele mocniejsi od naszych mączarze z Odesy i wschodnich gubernij Cesarstwa ofiarowali bez wahania około *stu tysięcy* rubli na takie zakłady nad Wołgą i na południu. Przeznaczając owę sumę, nie bawili się oni ani na chwilę myślą o filantropii; obliczyli rzecz trzeźwo i wiedzieli doskonale, że stworzenie takich ognisk, z których wyjdą pracownicy uzdolnieni, jest ich własnym interesom, wybornie zrozumianym i ocenionym.

U nas — z wielkich projektów pozostał pyłek, lotniejszy od pudru mącznego na ścianach młynów. Partactwo nadal się rozpiera, cała strona techniczna produkcyi, z wyjątkiem niewielkiej garstki prawdziwie uzdolnionych specyalistów, spoczywa w rękach najprostszych wyrobników. O podniesieniu poziomu ich kwalifikacyi bez pomocy szkoły roją właśnie *Wiek* i *Gazeta rzemieślnicza*. W pierwszym p. Stanisław Pytlowski usiłuje sprawę załatwić za pośrednictwem urządzeń cechowych. Jaką drogą ci specyaliści zdobywają dziś wiadomości odpowiednie? Oto przyszły czeladnik pracuje w jakimś małym młynie kwartał, najdłużej pół roku, następnie przechodzi do innego, gdzie już pobiera płacę (bardzo lichą) i służy do pomocy w nasypywaniu ziarna i pakowaniu mąki. Po roku, rzadko po dłuższym terminie, jest wyzwolony jako czeladnik i idzie na właściwą praktykę bez żadnej kontroli. Chcąc mieć dobrych i uzdolnionych pracowników, należałoby, zdaniem p. Pytlowskiego, przedsięwziąć następujące środki: Przez wybieraną delegacyę sprawdzać od czasu do czasu, czy w książkach cechowych są zapisywani terminatorowie, właściwie praktykanci, i przez kogo? Czy są wyzwalani w określonym czasie podług umowy? Czem na zgromadzeniu udowadniają swoje uzdolnienie? „Praktykowane bowiem dotąd wzięcie rozmiaru cyrklem z działu koła trybowego, narysowanie trybu w mniejszej ilości zębów, zwanego w dawniejszem młynarstwie cewiem, obecnie, jako dział mechaniki, której znajomość w tym stopniu niczego nie dowodzi, z wyjątkiem wiatraków, nie ma w młynarstwie praktycznego znaczenia ani dla czeladnika, ani dla właściciela. „Obecnie należałoby wymagać od pierwszego: umiejętności kucia kamieni francuskich, utrzymania w należytym porządku piaskowców i znajomości jednego ze sposobów mielenia żyta i pszenicy na mąkę, tudzież wyrobu kasz. Aby stworzyć z sił miejscowych zastęp ukształconych fachowców, jakich młynarstwo nasze prawie nie posiada, p. Pytlowski uważa za konieczny podział ich na trzy klasy: prostych robotników, tj. sypaczów, młodszych i starszych czeladników. Wyzwolony na młodszego, powinien odbyć jeszcze kilkoletnią praktykę w młynach dobrze urządzonych, których wskazywaniem zajmą się zjazdy. Następnie otrzymawszy świadectwo z kilku takich młynów, może zostać starszym po złożeniu egzaminu i zatwierdzenia przez zjazd. Po za tem projektodawca zaleca baczną kontrolę nad czeladzią młynarską. Obecny sposób szukania pracy, zwany *reizą*, jest demoralizujący, naraża na zajścia z młynarzami i współtowarzyszami. „Indywiduum ze złemi skłonnościami — mówi autor — o leniwem, próżniaczem usposobieniu, najprędzej pragnie posiąść teraźniejszy list wyzwolinowy, aby zapewnić sobie w miesiącach letnich stały zarobek w wędrówce, a właściwie żebranie po młynach pod pozorem szukania pracy, a pp. młynarze z konieczności tolerują to zło."

Otóż p. P. radzi, ażeby każdy młynarz, zamieszkały dalej, niż o trzy mile od cechu, dawał roczną składkę do tego organu, jednego w gubernii lub na kilka powiatów. Cech taki mógłby zarazem być biurem stręczeń pracy, a książka wskazywałaby dokładnie, kto zgłasza się po pracę; jeżeli ją zaś otrzymał, to dlaczego opuścił wkrótce? Czy często jej poszukuje? Bliżej cechu położone młyny i wiatraki mogą być nawiedzane przez czeladź wędrowną tylko z kartką cechową, służącą na tydzień. W końcu p. P. radzi urządzać często zjazdy młynarzy (podzielonych na grupy), nie mówi tylko, jakie, ale domyślić się należy, iż mogą być czysto miejscowe. Wytworzyłyby one pewną łączność i ułatwiły porozumiewanie się między innemi w sprawach zdobywania sił odpowiednich.

Inaczej nieco na tę całą kwestyę zapatruje się *Gazeta rzemieślnicza*, która jednak ze swego stanowiska niejako obowiązkowo szuka zawsze ratunku w organizacyach cechowych. Powinni się do nich zapisywać — zdaniem tego organu — nietylko wszyscy majstrowie młynarscy, z których znaczna część, pracujących szczególnie w wielkich młynach, do cechów nie należy, ale także dyrektorowie młynów, budowniczowie i mechanicy, wreszcie właściciele. Zebrałoby się ich sporo i w takiej łączności cechowej potrafiliby nakreślić odpowiedni program nauki i egzaminów, świadectwom zaś cechowym nadaliby znaczenie takie przynajmniej, jakie mają udzielane przez znanych majstrów lub zarząd młyna z dobrą sławą. Po za tem bardzo słusznie *Gazeta* zaznacza potrzebę szkoły fachowej i pisma, poświęconego sprawom młynarstwa. Dzięki takim właśnie czynnikom podstawowym, owa gałąź produkcyi na zachodzie Europy doszła do wysokiej doskonałości technicznej i siły materyalnej. Niemcy, czesi, węgrzy posiadają rzeszę specyalistów, wybornie uzdolnionych przez szkoły i praktykę prawdziwie pożyteczną. U nas, niestety, dotąd rozumieją doniosłość takiej nauki nie młynarze, lecz młodzież, obierająca sobie ten dział pracy, o czem świadczy fakt, podany przez jednego z uczestników narad młynarskich, odbytych w Warszawie przed nowym rokiem. Bywalec ten, zwiedzając szkoły w Niemczech, znalazł w jednej z nich aż 60 uczniów polaków.

Powołując się na ów przykład, jako potrzebę własnej szkoły, rajcowie nie zastanowili się nad jedną stroną: Ci specyaliści, kształcący się za granicą, nie będą pracować dla naszego młynarstwa, bo wobec jego pierwotności technicznej i ekonomicznej, nie mieliby co tutaj zrobić. Byłoby to samo, co np. kazać maszyniście parowca rozpinać żagle na statku pierwotnym, albo specyaliście od lokomotywy tramwajowej być woźnicą wagonu konnego. Fachowcy nasi, kształcący się za granicą, nie obdarzą więc naszych młynarzy swoją pracą umiejętną i wiedzą, lecz pójdą tam, gdzie technika i produkcya młynarska wysoko stoją. To też znamiennym rysem pierwotności owej gałęzi produkcyi u nas, jest chęć zamknięcia jej w organizacyi cechowej. Powiedzmy to producentom obcym, a uśmieją się serdecznie; bo u nich młynarstwo to odłam wielkiego przemysłu z tysiącami pracowników najróżniejszych kategoryi,

z wszechświatowemi ogniskami handlu. U nas, dopóki ta gałąź wytwórczości w znacznej części będzie wiatrakowa lub wodna, dopóki będzie ona w rękach spekulantów (dzierżawców lub właścicieli), oddzielona od innych pokrewnych odłamów przemysłu, dopóki wreszcie wszyscy przedsiębiorcy będą działać bez żadnej łączności ekonomicznej i poczucia potrzeby rozwoju—póty szkoła specyalna i wykształceni w niej fachowcy będą zbyteczni, a najwłaściwszą pozostanie praktyka dotychczasowa, może tylko trochę poprawiona na sposób projektów *Wieku* i *Gazety rzemieślniczej*, zamknięta w ciasnem kółku cechowem, w którem łatwo nawet zmieścić całą dzisiejszą machineryę naszego młynarstwa. Jeżeli wszakże znajdzie się gromadka, która potrafi wyjść z zaściankowości, to przedewszystkiem powinna rozwinąć zabiegi około stworzenia związku wespół z rolnikami, a następnie na tym podkładzie założyć pismo specyalne i szkołę wraz z biurem poszukiwania pracowników. Wtody nie trzeba będzie szukać środków w przeżytych formach cechowych.

Drog.

— Obowiązkowe banderolowanie herbaty dla zapobieżenia podrabianiu wejdzie w życie najpóźniej 13-go stycznia 1896 r. w całem państwie, według stopniowania, ustanowionego przez ministeryum skarbu. (*Birż. Wied.*).

— Wobec podniesienia się cen zboża, postanowiono zmniejszyć zakupy rządowe na potrzeby intendentury.

— Według zapewnień *Grażdanina*, postanowiono stworzyć kontrolę rządową nad eksploatacyą bogactw mineralnych na następujących zasadach: Najmniejszy obszar powierzchni, jaka może być przeznaczona do wyzyskiwania w formie dzierżawy, oznaczony będzie w specyalnej instrukcyi, przyczem niezbędną jest rzeczą, aby dochody z kopalni pokrywały wydatki dzierżawcy, który winien prowadzić eksploatacyę według przepisów górniczych, nie utrudniając prac w kopalniach sąsiednich. Wszelkie kontrakty dzierżawne powinny być przedstawiane inspekcyi górniczej, która ma prawo uzupełniać je i zmieniać dowolnie. Na gruntach włościańskich przemysł mogą prowadzić same gromady, jeżeli obiorą sobie do wykonania robót uzdolnionego górnika. Wogóle przy eksploatacyi zwrócona będzie szczególna uwaga na system rabunkowy, który mógłby pozbawić bogactw mineralnych przyszłe pokolenia.

— Towarzystwo kredytowe ziemskie w półroczu ubiegłem ogłosiło sprzedaż przez przymusową licytacyę za zaległe raty ogółem 627 dóbr ziemskich we wszystkich 10 okręgach dyrekcyj szczegółowych w Królestwie Polskiem. Największa liczba dóbr zalega w opłacie w gubernii kaliskiej 117, następnie w gub. warszawskiej 107, piotrkowskiej 83, kieleckiej 80, płockiej 77 i suwalskiej 54. Bardzo niewielka liczba obywateli zalega w pozostałych czterech guberniach: w lubelskiej 43, radomskiej 31, siedleckiej 25 i w łomżyńskiej tylko 10. Wogóle w porównaniu z półroczem poprzedniem liczba ziemian, zalegających w opłacie rat Towarzystwa, zmniejszyła się o trzecią część.

— Monopol spirytusowy będzie wprowadzony w guberniach południowych i podolskiej od lipca 1896 r., w północno zachodnich od lipca 1897 r., w Królestwie Polskiem od stycznia 1898 r.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

— *Prawit. Wiest.* pisze: „W dniu 23 kwietnia r. b. o godzinie 2 i pół po południu, Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan odwiedził w miejscowości „Solanyj Gorodok“ pierwszą wystawę wszechrosyjską sztuki drukarskiej. Oglądanie wystawy przez Najjaśniejszego Pana rozpoczęło się od oddziału artystycznego. Wystawcy wszystkich oddziałów dostąpili szczęścia złożenia Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu wzorów wyrobów drukarskich. W oddziale polskim wystawca Brauman złożył obraz cudownej Matki Boskiej Częstochowskiej w złoconej ramie, wykładanej pluszem, z napisem „Pod Twoją obronę uciekamy się.“ wystawca Skiwski — „Księgę przysłów polskich“ Adalberga, w jasnej skórzanej oprawie i wystawca Grendyszyński w imieniu wydawców egzemplarz „Królowej niebios“ we wspaniałej oprawie ze skóry fińskiej i z ozdobami bronzowemi.“

— Najwyższy rozkaz co do zmiany zatwierdzonych Najwyżej d. 14 marca 1892 r. tymczasowych przepisów o osiadaniu w gub. wołyńskiej osób pochodzenia nieruskiego:

Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan na przedstawienie komitetu ministrów w d. 19 marca 1895 r., Najwyżej rozkazać raczył: W zamian zatwierdzonych Najwyżej d. 14 marca 1892 r. tymczasowych przepisów co do osiadania w gub. wołyńskiej osób pochodzenia nieruskiego, postanowić:

1) Nabywania prawa własności do majątków nieruchomych, po za obrębem osad miejskich w gubernii wołyńskiej położonych, jakoteż prawa władania i użytkowania z tychże majątków nieruchomych, wypływającego z umowy o najem i dzierżawę, zabrania się nadal: *a*) pozostającym w poddaństwie ruskiem osadnikom zagranicznym (zb. pr. t. IX § 1,003 Nr. 5, dod. z r. 1890) i *b*) osobom, przesiedlającym się z gubernij przywiślańskich.

2) Moc obowiązująca wyłuszczonego w p. 1 przepisu nie dotyczy tych z pośród objętych nim osób, które osiadły po za obrębem miast przed wydaniem niniejszej uchwały komitetu ministrów, oraz wchodzących w ich prawa sukcesorów na zasadzie przepisów spadkowych.

3) Gdyby miejscowa władza gubernialna ujawniła sporządzenie umowy, będącej zgwałceniem lub obejściem p. 1-go uchwały niniejszej, wówczas, po żądaniu niezbędnych wiadomości, których władzy powyżej wspomnianej obowiązane są dostarczać niezwłocznie zarówno sądowe, jak i wszelkie inne rządowe instytucye i osoby, gubernator upoważnia jednego z podwładnych sobie urzędników do wystąpienia w miejscowym sądzie okręgowym ze skargą o unieważnienie dokonanej już umowy lub sporządzonego aktu. Sprawy te prowadzi się według procedury, ustanowionej dla spraw zarządu skarbowego.

4) Gubernatorowi wołyńskiemu nadaje się prawo wydalania w drodze administracyjnej z granic gubernii wołyńskiej osób, wyszczególnionych w p. 1-ym uchwały niniejszej, jakoteż poddanych zagranicznych, którzy, obrażając zacytowany punkt ustawy niniejszej, względnie prawo z r. 1887, okażą się faktycznymi właścicielami majątków nieruchomych po za obrębem miast gubernii wołyńskiej na zasadzie umów ustnych i wogóle nieformalnych warunków, albo po wydaniu decyzyi sądowej, unieważniającej umowy zawarte przez nich co do posiadania lub eksploatowania tych majątków.

5) Generał — gubernator kijowski, podolski i wołyński określi w oddzielnej instrukcyi sposób wprowadzania w wykonanie przepisów niniejszych ze strony właściwych instytucyj administracyjnych, oraz rozstrzygać będzie, mogące wyniknąć wątpliwości w tychże instytucyach przy stosowaniu przepisów niniejszych.

(*Praw. Wiest.*)

KRONIKA.

Sprawy społeczne. We Lwowie powstaje „Towarzystwo adwokackiego funduszu wsparć.“

— W Rzeszowie zawiązało się Towarzystwo ogrodnicze, które rozpoczęło czynność swą od wydawnictwa miesięcznika p. t. *Przewodnik ogrodniczy*.

— Towarzystwo ratowania tonących w Kaliszu liczy 140 członków.

— *Now. Wr.*, mówiąc o zbliżeniu między literaturą rosyjską a polską, radzi zamiast nieudających się prób zawiązania własnej kasy, stworzyć oddział ogólno-rosyjskiej dla literatów i uczonych.

— Ministeryum spraw wewnętrznych ogłasza, iż kary 300-rublowe nałożone, na rodziny żydowskie za ucieczkę poborowych przed służbą wojskową, mogą być umarzane na podstawie Najwyższego Manifestu w tych tylko wypadkach, jeżeli zbiegowie zgłoszą się do odbycia powinności przed 26 listopada.

Szkoły. *Now. Wr.* podaje szczegóły o warunkach przyjęcia kobiet na przyszłe kursy lekarskie. Te, które ukończyły szkoły felczerskie, nawet z prawem pomocnic lekarzy, będą miały wstęp po zdaniu egzaminu dojrzałości. Już obecnie napływ przyszłych słuchaczek jest tak znaczny, że powstał projekt pozwolenia kobietom uczęszczania na medycynę we wszystkich uniwersytetach. Gazeta zapewnia, iż kursy otwarte będą już przyszłego roku szkolnego.

— Pp. Zambrzycki i Topolski, studenci V-go kursu Akademii wojenno-lekarskiej w Petersburgu, otrzymali medale złote za walkę z cholerą.

— *Nied. Chron. Woschoda* donosi, iż na założenie uniwersytetu w Jerozolimie jeden z bogaczów izraelitów ofiarował znaczną sumę, nadto do urzeczywistnienia projektu przyczyni się międzynarodowy związek żydowski. Jednym z przedmiotów wykładowych będzie literatura hebrajska.

— Ministeryum oświaty zaleciło wogóle urządzanie kursów wieczorowych i świątecznych dla kształcenia ludności robotniczej pod względem technicznym i rysunkowym. Na tej podstawie dyrektor gimnazyum III w Warszawie ofiaruje lokal szkolny na takie lekcye trzy razy tygodniowo dla 40—50 osób.

— Na utrzymanie szkół elementarnych w Królestwie Polskiem wydawano dotychczas 907,000 rs. rocznie, w tem ze skarbu 128,000. Obecnie skutkiem starań władzy szkolnej rząd wyznacza zapomogę dodatkową, która wogóle wynosić ma 230,006 rs. rocznie. W roku bieżącym udzielona będzie na ten cel suma rs. 100,000, a następnie stopniowo ma być zwiększana.

— W Towarzystwie lekarskiem warszawskiem na rok akademicki 1895—6 będzie do rozporządzenia sześć stypendyów po rs. 300 rocznie z zapisu dr. Walentego Kaczorowskiego dla młodzieży, poświęcającej się naukom lekarskim, pochodzenia polskiego, katolików — i jedno na rs. 250 z zapisu Ignacego Gałęzowskiego, dla studenta medycyny uniwersytetu warszawskiego. Termin składania podań oznaczono do dnia 15 września. Wszystkiemi stypendyami rozporządza Towarzystwo lekarskie.

Koleje i komunikacye. Zarząd miejski w Witebsku wraz z ziemstwem pow. wielkołuckiego poczynił starania o przeprowadzenie kolei do Witebska przez pow. wielkołucki i na ten cel ofiaruje część gruntów miejskich. Ma to być właściwie kolej dojazdowa od Wielkich Łuk do Witebska.

— Kolej Wiedeńska miała w roku przeszłym dochodu *brutto* 13,616,636 rs., czyli w stosunku do roku poprzedniego — o 1,403,525 rs. więcej. Czysty zysk wzrósł o rs. 630,685. Dywidenda ma wynosić rs. 11.50 od akcyi storublowej. Według organu brukselskiego, *Côte libre*, w razie wznowionych układów o skup kolei, akcye tej drogi obliczone będą w cenie rs. 275, tj. tylko o 30 rs. mniej od kursu dzisiejszego.

Wystawy i zjazdy. We wrześniu r. b. odbędzie się w Rzymie drugi kongres geograficzny włoski.

— Urzędowo zatwierdzono wszechrosyjską wystawę rolniczą w Kijowie, zapowiedzianą na r. 1897.

— Otwarcie wystawy wyrobów metalowych w Warszawie (gmach cyrkowy przy ul. Ordynackiej) zapowiedziano na dziś, 18 b. m.

— W Leydzie (Holandya) odbędzie się we wrześniu trzeci kongres międzynarodowy zoologów. Zwracać się można z deklaracyami do sekretarza niderlandzkiego Towarzystwa zoologicznego, p. C. Hoeck an Helder.

— W Kowlu odbędzie się wystawa rolnicza z powodu zwołanego tam (na 28 maja) zjazdu ziemian.

Zdrowie publiczne. Cholera w całem państwie wygasła, z wyjątkiem dwóch gubernij: wołyńskiej i podolskiej. Doświadczenie lat ubiegłych dowiodło, iż czujność zdrowotna jest niezbędna, zwłaszcza podczas miesięcy letnich. Z tego względu ministeryum spraw wewnętrznych przypomina organom gubernialnym odpowiednie środki ostrożności. Między innemi szczególną uwagę zwrócono na wodę. Prócz tego postanowiono niezwłocznie naradzić się nad tem, jakie środki w każdej miejscowości najbardziej odpowiadają celowi.

— Magistrat m. Warszawy ustanowił stały kredyt w sumie rs. 1,160 rocznie na wyłączne analizowanie wody wodociągowej.

— Budowany w r. b. na Czystem pod Warszawą szpital żydowski, całkowicie będzie ukończony w roku przyszłym. Obecnie ze specyalnego funduszu 80,000 rs. budowany jest osobny pawilon dla obłąkanych, zaraźliwych i piersiowych. W ciągu roku mają być jeszcze wzniesione cztery pawilony dla dotkniętych chorobami wewnętrznemi, oddziały chirurgiczny, ginekologiczny itd.

Dobroczynność publiczna. Róża z Rosnowskich hr. Lanckorońska zapisała swój majątek nieruchomy we Lwowie na fundusz zapomogowy dla artystów i artystek dramatu i opery w tem mieście.

— W Sallcy, gub. permskiej, u pp. Koziełłów-Poklewskich, odbył się koncert na rzecz kolonii letnich w Warszawie. Dochód 900 rs. przesłano dr. Markiewiczowi.

Korzystne wydawnictwo. Pod tym tytułem *Gazeta polska* podaje następującą notatkę: Po wprowadzeniu obowiązkowej prenumeraty *Gazety policyjnej* dla wszystkich właścicieli domów oraz właścicieli sklepów i zakładów handlowych, wydawnictwo to zaczyna dawać doskonałe zyski na korzyść miasta. Po opędzeniu kosztów wydawnictwa, spodziewany dochód z *Gazety policyjnej* da przeszło 36,000 rs. Drukarnia policyjna daje miastu zysków około 1,000 rs.

Wypadki. W dystylarni Borucha Mędrzyckiego przy ul. Ogrodowej w Warszawie, d. 13 b. m. zdarzył się wielki wybuch spirytusu w beczkach (800 wiader) Jeden robotnik spalił się zupełnie, dwóch doznało silnych poparzeń.

— Pod Nantes zetknął się pociąg towarowy z osobowym. Zginęły dwie osoby, ranionych 10.

— W ciągu miesiąca notujemy już trzecie zetknięcie się parostatków na morzu Czarnem. Przed kilku dniami spotkały się parowce „Skoryj" i „Bizancyum," tym razem bez szkodliwych następstw dla podróżnych.

— Z Kazania donoszą o niebywałym wylewie rzeki. Dworzec kolejowy i plant zalane. Podróżnych od stacyi Świażsk przewożą statkami parowymi.

Zmarli. Feliks Jaroński, muzyk i kompozytor dumek ukraińskich, w Kielcach.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Мая 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.